

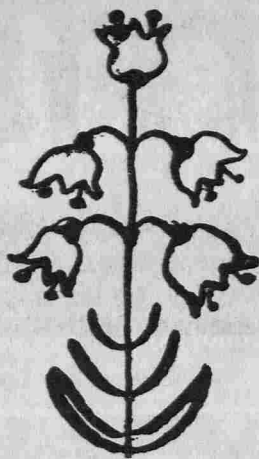
1422/74

9 przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny Kielce wrzesień 1974 Nr 9/48 Rok V



W numerze: O. Leśny — Palę Rejów ♦ W. Barański — Hasło „żniwa” ♦ S. Raston — Więcej wody ♦ B. Pasternak — Serca i dłonie ♦ T. Bartosz — Stefanowi Borkowi do Anglii pismo ♦ Dyskusja o środowisku muzycznym



Z prostych, dębowych ludzi...

MIECZYŚLAW RÓG-ŚWIOSTEK, redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi”, działacz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich otrzymał w tym roku Nagrodę im. Bolesława Prusa. Kielczanin z pochodzenia, kielczanin z walk partyzanckich, po wyzwoleniu działacz polityczny i współorganizator pierwszych lat wolności w Kielecczyźnie, zawsze w swych sentymentach i przedsięwzięciach ziemi kieleckiej wierny, wyróżniony został najwyższym dziennikarskim odznaczeniem. W roku XXV-lecia „Słowa Ludu”, całego kieleckiego zespołu dziennikarzy, którym kierował jako redaktor naczelny, poprosiliśmy redaktora Roga-Świostka o garść refleksji o naszym zawodzie.

IRENA JAROSZ: W imieniu redakcji „Przemian” gratulujemy Wam wyróżnienia, które otrzymać może tylko dziennikarz. Dziennikarz, wiemy, najlepszy. Co jest istotą nagrody, dlaczego Bolesław Prus?

MIECZYŚLAW RÓG-ŚWIOSTEK: Bolesław Prus jest uważany słusznie przez wszystkich współczesnych ludzi plóra za najznakomitszy pierwowzór dziennikarza. Jego „Kroniki”, obserwacje, uwagi i refleksje do dziś dnia, gdy wczytac się w nie uważnie, pozostają aktualne, a forma, kunszt, treść są perłą polskiego dziennikarstwa. Oprócz wielkiego serca człowieczego ten pisarz, humanista i patriota odznaczał się trzeźwym realizmem: wady narodowe, snobizmy szlacheckie ohłostał, piętnował, nawoływał do nauki, rozumiał rangę rzemiosła. Walka o nowoczesność Polski, zawarta w prusowskich marzeniach, zbieżna jest z humanizmem, dalekowzrocznością postulatów VI Zjazdu partii. Uważaliśmy, że obok Nagrody Młodych im. J. Bruna, dorocznych nagród klubowych i sekcji twórczych SDP, brakowało nagrody największej, pieczęci królewskiej dla tego pięknego, trudnego zawodu, zaszczytnego, służebnego i odpowiedzialnego. Jest to narzędzie, którym nie można posługiwać się nieodpowiedzialnie. Na wniosek Prezydium Stowarzyszenia

Dziennikarzy Polskich ustanowiona została ta nagroda, Bolesława Prusa. Jej dotychczasowymi laureatami są m.in. Edmund Osmańczyk, Ryszard Wojna, Władysław Machejek.

I. J.: Za co się otrzymuje to najwyższe w zawodzie wyróżnienie? Spytać trzeba Was, nie urażając skromności laureata, w imieniu dziennikarzy z Waszej ziemi, ongiś współpracowników, w imieniu czytelników „Chłopskiej Drogi” i „Przemian”, słuchaczy Waszych refleksji przed kamerami telewizji.

M. R.-Ś.: Piszę od lat trzydziestu, zacząłem w prasie podziemnej, współpracowałem z „Chłopską Drogą” od roku 1948, byłem przez pewien czas naczelnym redaktorem „Słowa Ludu”. Najlepszą część mojego życia pozostała w pracy dziennikarskiej. Nie napisałem ja nic takiego osobliwego, nie miałem czasu, jako dziennikarz funkcyjny musiałem zajmować się dziesiątkami spraw, które nie należą ani do funkcji, ani do poruczeń dziennikarskich. Po ojcu, samouku i sierocie, odziedziczyłem instynkt społecznikowski, to oddanie ludzkim sprawom dnia codziennego. Wierny jestem problematyce wiejskiej; tam, na wsi dokonywały się w tym czasie najgłębsze zmiany, dotarły do samych korzeni ludzkiego losu. Jednocześnie wieś jako społeczność i jako war-

sztat rolny, ziemia, daje nam wszystkim chleb powszedni. Są to sprawy trudne. Warunki nowoczesnej produkcji, cywilizacja i kultura życia, socjalistyczne przemiany w stosunkach produkcji muszą następować z inicjatywy, wiary i przekonania samych chłopów; uporczywie wokół tego zabiegać muszą nasze serce i umysł, żeby z tego był chleb. Łamać trzeba przeciwności i trudności, opierając się o podmiot przemian, pracującego człowieka. Jako chłopski syn, wżyty w wiejską dolę i niedolę, osiągnąłem (może dlatego przewodzę klubowi publicystów rolnych SDP od lat kilkunastu), pewną znajomość rzeczy bardzo mi bliskich. Z natury jestem optymistą i po trochu realistą. Równocześnie, to u mnie nie nakazane, naturalne — starałem się nie tylko widzieć, ale najuczciwiej przeżywać losy, dolę i cierpienie ludzkie, szczególnie ludzi wsi. Dużo jeszcze, błąka się w naszym życiu pogarda dla chłopów; skąd ten poszlachecki stosunek, bezceremonialność, arbitralne podejście niektórych przedstawicieli administracji, bezduszne często egzekwowanie przepisów? Z braku szacunku dla poranej bruzdami, szarej jak ziemia chłopskiej dłoni. A chłop jest z tego punktu widzenia przedstawicielem najwyższej moralności, patriotyzmu, godności, pracowitości, cech na których chcemy wychowywać nowoczesne pokolenie.

I. J.: Kim jest polski dziennikarz — obserwatorem zjawisk społecznych, moralistą, kowalem cudzego losu, kronikarzem?...

M. R.-Ś.: Dziennikarz to z przekonania działający społecz-

nik. Człowiek, który piórem, słowem, różnorodną działalnością pełni swoistą służbę społeczną. To nie tylko słowo wydrukowane, podpisane nazwiskiem. Ogromną pracę wykonują działy listów i interwencji, a także różne inicjatywy i akcje społeczne. Gazeta współtworzy opinie, kształtuje prawidłowy stosunek do zjawisk społecznych, wychowuje, zwalcza pospolite objawy odstępstwa od mądrości naszych pryncypiów ideowych. Dziennikarz jest szermierzem ideałów społecznych, prostującym — gdzie krzywe — drogi władzy do obywatela. Sam musi mieć, żeby podołać temu zadaniu, żeby mu wolno było je pełnić, autentyczny, nie deklamowany szacunek dla człowieka, dla jego pracy.

I. J.: Wasza dziennikarska służba zaczęła się na Kielecczyźnie, w konspiracji. Znacze jej geografii i historii. Czym jest w życiorysie naczelnego redaktora „Chłopskiej Drogi”, działacza politycznego, ten kawałek Polski?

M. R.-Ś.: Ziemia kielecka, wielkie słowo dla mnie, kraj lat dziecińczych, najpiękniejszy, zawsze we wszystkich kolorach tęczy. Jest bastionem patriotyzmu od powstań narodowych do spokojnych dni dzisiejszych. W moich Borsukach było drzewo, sosna, pod którą zarabiali powstańcy. Przed wojną chłopci, którzy kradli las, bo kraść musieli, tego drzewa nie tknęli siekierą, zamordowali je dopiero Niemcy. Tacy tu ludzie, bogactwo ziemi. Najlepszych przyjaciół, cnoty i zalety sprawdzisz w biedzie. Pięć okupacyjnych lat musiałem się ukry-



fol. S. Godziec

wał, korzystać z życzliwości biednych dobrych ludzi. To nie patos. Wszystkie te biedne kieleckie chaty zasługują na nie napisany jeszcze poemat. Wystarczyło zapukać w nocy w szybę zasłoniętą szmatą, i otwierały się drzwi, schronienie głodnemu czy ściganemu. Im biedniejsza była chata, tym ofiarniejsza. Kieleccyzna to ziemia przesiąknięta prawdziwym ludzkim humanizmem, choćby i nie całkiem uświadomionym. Partyzantka kielecka to nie tylko kieleckie geste lasy, to ludzie, karmiciele leśnych i ich ochrona. Ta ziemia Staszica, Żeromskiego i Ściegiennego zasługiwała i zasługuje na większą niż to się dzieje pomoc i uwagę innych regionów i władz centralnych. Często była, dość często pokrzywdzona. W 1957 roku byłem tu razem z Wami, znam Wasze sprawy, angażuję się w nie nadal bez nakazu, na ile mogę.

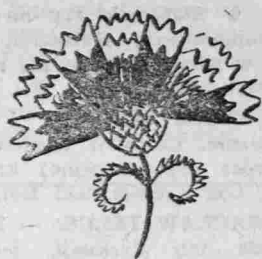
Kieleccyzna ukształtowała mój światopogląd ideowy. W świecie ostrych przeciwieństw, z oceny obrazu zastanego dojrzała we mnie konieczność przemian, kształtował się mój radykalizm społeczny, wyrosły moje marzenia. W 1943 roku wstąpiłem w szeregi PPR. Dużo rozterek pokonałem, zanim mogłem w sposób autentyczny, rzeczowy, stanąć na pozycjach rewolucyjnej walki. Pomogli mi w tym dojrzywaniu ludzie nie posiadający minimum życia ludzkiego, nie mający się po lepsze udać nigdzie, wędrujący piechotą z Szydłowca do Iłży na kopanie karpiny, za groź, śpiwni w tej biedzie, do brzy. Zbiorowy ich portret noszę w sercu jak najpiękniejszy talizman. Z tych prostych, razowych, dębowych ludzi jest ten hart ducha, żeby patrzeć na ten świat i w miarę sił go zmieniać.

I. J.: Wasza nagroda, ta dziennikarska pieczęć królewska, wiemy za co się najlepszym dostaje. Znacnie nas dobrze, kieleckich dziennikarzy. Jacy jesteście, jak pełniemy służbę?

M. R.-S.: Trzeba patrzeć na życie realistycznie i nie pozbywać się marzenia, nawet jeżeli okaże się utopią. Każde pokolenie ma swój czas historyczny, każde ma, musi mieć swoje marzenia. Działając dla dobra człowieka, w miarę możliwości, bez miraży budujemy ojczyznę, w jej ludziach humanizm.

Uważam dziennikarzy kieleckich ze „Słowa Ludu”, z „Przemian” za środowisko na naszym aktualnym współczesnym poziomie. Macie poparty od lat częstymi wyróżnieniami słuszny powód do satysfakcji. Rozumiem, że wypracować to trzeba teraz ciernistą drogą, przeżywając nieuniknione w naszym zawodzie konflikty. Tylko obiektywna publikacja nie budzi nikogo sprzeciwu, ale też ceni się tylko pisanie gorące, zaangażowane. Kieleckie środowisko dziennikarskie cechuje rozum i wrażliwość społeczna. Pomagacie partii, temu wszystkiemu, co się składa na jej dobry obraz. To chyba najwięcej, co można o dziennikarzu powiedzieć.

dyskusje



Suita półoptymistyczna

Po spotkaniach z literatami i architektami przy redakcyjnym stole zasiadli przedstawiciele środowiska muzycznego: Karol Anbild – dyrektor filharmonii, Andrzej Domin – dyrektor szkoły muzycznej. Świętosław Krawczyński – literat, Włodzimierz Kutrzeba – SPAM, Zdzisław Krywko – dyrektor ZDK przy FSC w Starachowicach, doc. Mirosław Niziurski – WSP, mjr Bolesław Rajzner – dyrektor orkiestry garnizonowej, Waclaw Telus – prezes Radomskiego Towarzystwa Muzycznego, red. Janusz Woś – Polskie Radio Kielce. Redakcję reprezentowali red. red. Irena Jarosz i Wiesław Barański.

Jakkolwiek historia muzyki naszego regionu jest zapewne mniej nabijana klejnotami sławnych nazwisk niż jej literatura siostrzyca, wydaje się jednak, że to, co zostało zrobione w ostatnim XXX-leciu, zasługuje na uwagę. Z różnych względów, ale głównie dla wytyczenia dalszych kierunków rozwoju środowiska muzycznego i muzyki.

Czy bohaterowie nie są aby zmęczeni? Czy dla chwytności idei przyciągnięcia ludzi do sal koncertowych i widowiskowych możliwy (i celowy) jest proces jednoczenia wysiłków filharmonii, teatru, estrady? Szanse amatorów – laureatów? Kierunki upowszechnienia muzyki? Oto pytania, na jakie chcielibyśmy uzyskać miarodajne odpowiedzi reprezentantów liczego już przecież środowiska muzycznego Kieleccyzny.

KAROL ANBILD: — Myślę, że idea „łączenia wysiłków” jest godna poparcia. W takim mieście jak Kielce nie wystarczy sam teatr dramatyczny i sama filharmonia, powinniśmy się postarać także o teatr muzyczny, który znajdzie dla siebie jakiś kąt w nowym gmachu teatru. Zostanie on zbudowany w ciągu najbliższych 5–6 lat. Powinniśmy zatem już teraz pomy-

śleć o stworzeniu chóru i baletu, w oparciu o jakieś rozsądne i stosowane gdzie indziej zasady finansowe...

WŁODZIMIERZ KUTRZEBA: — Przepraszam, ale muszę się wtrącić. Kielce miały kiedyś operetkę amatorską, która zginęła śmiercią naturalną, ponieważ również w sposób amatorski była zarządzana. Zresztą w Kielcach stworzenie teatru mu-

zycznego jest mało prawdopodobne: co lepsi uciekają od nas w popłochu (mogę tu wyliczyć nazwiska).

ANDRZEJ DOMIN: — Teatr muzyczny, jak proponuje dyrektor Anbild, powstałby z połączenia filharmonii i teatru. Jak słysząc, istnieją w kraju tendencje do rozdzielania się tego rodzaju placówek, a my je chcemy łączyć. Nie z tego nie będzie.

KAROL ANBILD: — Bardzo cenię szczere wypowiedzi, więc szczerze za szczerze: operetki amatorskie w Kielcach i Lublinie powstały w tym samym czasie, jakoś to jednocześnie zaczęło ludzi bawić. Okazuje się, że my ciągle jeszcze na ten temat gadamy, a Lublin ma już jedną z lepszych w kraju operetkę. Zebyśmy się znów nie zagadali — ostrzegam.

ŚWIĘTOSŁAW KRAWCZYŃSKI: — W moim przekonaniu podstawową rolę działaczy kulturalnych — za jakich wszystkich panów uważam oddając cześć ich olbrzymiej wiedzy fachowej — jest zaspokajanie potrzeb społecznych. Można w tym miejscu zadać pytanie, czy istnieje społeczna potrzeba powołania do życia teatru muzycznego w Kielcach. Panowie znają odpowiedź: tak, istnieje. Świadczy o tym frekwencja na koncertach — montażach przygotowywanych przez kolegę Anbild, frekwencja podczas gościnnych występów operetki lubelskiej, czy jakiejś innej. Pamiętam czasy, kiedy w teatrze kieleckim szli „Krakowiacy i Górale” — grała orkiestra symfoniczna, aktorzy śpiewali, nikomu do głowy nie przyszło sięgać po pomoc taśmy magnetofonowej. Frekwencja była, jak by tu powiedzieć i w teatrze, i w POS.

KAROL ANBILD: — Frekwencja jest i dzisiaj, filharmonia ma dla kogo grać...

ŚWIĘTOSŁAW KRAWCZYŃSKI: — ...ale, czy nie zauważył pan, że gra ciągle dla tych samych ludzi, widownia w zasadzie się nie zmienia, nie rozszerza. Gra pan dla starych melomanów i studentów kierunku muzycznego WSP, no, także

Z okazji srebrnych godów „SŁOWA LUDU”

„starszym” Koleżankom i Kolegom z redakcji
(z której nam też nogi wyrosły)
stu lat twórczego życia, ostrych piór
i milionowego nakładu

życzy zespół
„PRZEMIAN”

dla uczniów szkoły muzycznej. Przeciwny śmiertelnik ogląda dzisiaj w telewizji (lub słucha w radiu) festiwale, programy rozrywkowe, bloki muzyczne itp., mając w uszach ten cały piasek muzyczny niesiony w podmuchach techniki.

WŁODZIMIERZ KUTRZEBA: — Co wcale nie znaczy, by młodzi ludzie nie rwali się do muzykowania, robią to przy tym tak głośno, że doprawdy trudno stwierdzić czy z talentem...

MIROSŁAW NIZIURSKI: — „ale można natomiast stwierdzić, że to młodzieżowe muzykowanie nie kształtuje melománów przez duże M. Oni szarpają struny wcale nie dlatego, że kochają muzykę. Gdyby tak było, mielibyśmy młodych ludzi rozwijających w sobie potrzebę poznania także twórczości innych kompozytorów, z innych epok i stylów. Im wystarcza to, co „komponują” sami, wystarcza upodobnienie się (we własnym przynajmniej przekonaniu) do „Trubadurów” czy „Czerwonych Gitar”. Ich słuchaczom, bardzo zresztą niewybrednym, również wystarcza, że ich koleś głośno grają i są do kogoś podobni. To jest chore muzykowanie.

Albo tzw. piosenkarki, laureatki różnych konkursów: śpiewały niekiedy nawet ładnie, ale po zamążpójściu dały sobie z tym spokój, żadnej z nich nie przyszło do głowy (oczywiście z małymi wyjątkami), żeby pomnożyć, że tak powiem, „kapitał zakładowy”, liźnąć chociażby podstawy wokalistyki, albo przyjąć z synem czy córką na koncert do filharmonii.

Muszę państwu powiedzieć, że problem nie jest tak prosty, jakby się mogło wydawać. Podczas egzaminów wstępnych do WSP, na kierunku muzyczny, jedno z pytań pisemnych brzmiało: „Dlaczego młodzież nie lubi muzyki?” (dokładnie nie pamiętam, ale o to chodziło). 50 proc. egzaminowanych podjęło odważnie ten temat. Pisali oni, że są źle przygotowani, że nauczyciele muzyki zrażają do niej młodzież, lekcje muzyki są znienawidzone przez uczniów, ponieważ najłatwiej można na nich zarobić niedostateczną ocenę...

A więc zaczniemy od podstaw. Pan Krawczyński ma rację, do filharmonii przychodzą ci sami ludzie od kilkunastu lat, podczas gdy miasto w tym czasie (podobnie jak liczba mieszkańców) dwukrotnie wzrosło. Przybyło inteligencji, technicznej zwłaszcza, rozrosły się zakłady pracy. Jak do nich dotrzeć? Może to także nasza wina, że powstało coś na kształt muru dzielącego nas, muzyków, od kieleckich robotników. Ale po prostu jak wszyscy w kraju tak i my mamy dużo pracy, tworzenia nowych rzeczy, które chętnie byśmy prezentowali społeczeństwu, trzeba od nas wymagać. Powiem otwarcie: tego rodzaju wymagania są dla mnie osobiście czymś, co mogę nazwać natchnieniem...

WŁODZIMIERZ KUTRZEBA: — Tak chyba jest naprawdę. Prezentując twórczość kieleckich kompozytorów, prezentujemy także wykonawców. Obojęt-

ne, w Staszowie czy na jakimś ogólnopolskim festiwalu, którego w Kielcach jakoś nie możemy się doczekać...

JANUSZ WOS: — I chyba słusznie. Co nam właściwie da, oprócz organizacyjnej krzątani-ny, taki ogólnopolski festiwal?

WACŁAW TELUS: — Zmienię może ton dyskusji, jeśli mi wolno w tym gronie dołączyć do chóru artystów. Reprezentuję tylko amatorski ruch muzyczny, jestem zaangażowany w działalność Radomskiej Orkiestry Symfonicznej, wszyscy tu obecni znają jej początki i status zespołu amatorskiego. Ważna i dla nas jest przede wszystkim pozycja placówki wojewódzkiej, filharmonii. Wnioski z lektury „Ruchu Muzycznego” powinny nas zastanowić. Lublin ma złe warunki do działalności kulturalnej, a wspaniałe wyniki, choćby operetkę; ten zespół dopiero w innych województwach łapie oddech, znajduje sale dobre dla teatru muzycznego, a nas także, Kielecczyna ma te warunki, mogłaby znaleźć się w rzędzie województw bez pustego miejsca w tej formie ruchu muzycznego. Dyskusja dowodzi, że potrzebnej. Było tu przed kilku laty wielu ludzi tym zainteresowa-

postulatów, zrobiliśmy dużo, su-mowanie nie mieści się na kartkach papieru. Radom jest nietypowy. Miasto jak na powiat za duże, jak na samodzielną działalność artystyczną — za małe. Budując naszą salę koncertową, przewidzieliśmy jej rozbudowę, dobudowę właśnie dla celów muzycznych; trzeba ją dzielić z teatrem.

Ale ruch amatorski sam nie spełni artystycznych zadań, gościnnie przyjmujemy duże nazwiska, dobre zespoły, czy to z Kielce czy z Warszawy. Do nas, działaczy Radomskiego Towarzystwa Muzycznego, należy kultura słuchacza. Mamy w zasięgu tych zamierzeń dziewięć powiatów, to zamiary ambitne, nie pracujemy systematycznie, ale też małe są możliwości czasowe naszych muzyków amatorów, pracujących etatowo przecież nie w muzyce. Były dla młodzieży koncerty Filharmonii Narodowej. Dla młodzieży, bo zgadzam się z doc. Niziurskim, że droga od miłośnika gitary do znawcy muzyki poważnej nie jest naturalna, prosta. My sami wyrabialiśmy kiedyś nasz smak, zainteresowanie muzyczne w domu, w szkole. Więc zaczynamy od szkół muzycznych,

starych nie zmienimy, zaczyna-my z młodzieżą. Na koncert w muzeum z muzykiem z Belgii, radomianinem, ludzie przyszli, ale my chcemy systematycznie prezentować recitale naszych kompozytorów, wokalistów, instrumentalistów. Potrzebne są te kameralne koncerty, spotkania zbliżające obie strony, rozmowy, potem pójść za nazwiskiem, za sprawą. Kto wyrzucił muzyków z reprezentacyjnej kawiarni? Młodzież. A może tam być jeden dzień w tygodniu muzyczny. Chcemy wejść do handlu, spółdzielczości, gastronomii. Patrz! co ludziom kupić, żeby drogo, po sto złotych za bilet, to szły i mały kłopot z funduszem na kulturę, a na nasze wewnętrzne, własne — tak drogo nie zapłacą. A przecież z naszej inicjatywy, towarzystwa, dyrygenta ROS, z udziałem artystów z Krakowa, wystawiliśmy „Zamek na Czorsztynie”. Nie zastępujemy tu nikogo z muzyków, pełni-amy funkcję społeczną, rozpoznajemy potrzeby. Sugerowaliśmy kiedyś Wydziałowi Kultury WRN orkiestry dęte, piękny rodzaj muzykowania; powiedzieli — wystarczy nagrać jedną centralną dętą w Warszawie i odtwarzać ludziom z taśmy. A byli wojewódzkie festiwale, w Radomiu od maja do września koncerty, teraz już jedna, dwie wyleciały z ewidencji. Chcemy wznowić cykl koncertów wszystkich radomskich orkiestr, żeby nie używane nie ginęły. Będziemy budować w osiedlach RSM placówki kultury, żeby tam zmieściła się nie tylko szafa grająca i telewizor, lecz muzyka, zasiedlić dobrą muzyką tam, gdzie żyją ludzie. Takie to nasze miasto i za duże, i za małe.

BOLESŁAW RAJZNER: — Dużo mówimy tu o operetce, choć nie jest wytworem współczesnym. Macie świetnych wykonawców, kompozytorów, a porządnego chóru nie ma. Dlatego nie możemy nadażyć z kulturą, z całą kulturą, za rozwojem społeczno-ekonomicznym województwa. Garnizon kielecki, oficerowie wykształceni, mają jak inni cywilni obywatele rosnące wymagania. Środowisko kieleckiego województwa pragnie tego, co by nas wyniosło ponad kieleckie. Nie słychać. W prasie wojskowej więcej się o was pisze, niż we własnej, cywilnej, regionalnej. O sukcesach w Magdeburgu, na Panoramie w Warszawie, o przeglądzie młodych wokalistów. Cieszy mnie, że cywile upominają się o orkiestry dęte. Nie wszędzie one, redaktorze, upadają, wojsko pieczętuje pielęgnuje te tradycje, orkiestry garnizonowe, Centralna Orkiestra Wojska Polskiego. Musztra polowa na defiladzie pod batutą tamburmajora cieszy oko, ale ta muzyka się u nas rozwija, dochodzą wiolonczele, do blachy drzewo, repertuar nie tylko marszowy. Mam kilku tych żołnierzyków-muzyków, chcą ich do Centralnego Zespołu, z polową. Czasem coś nam wychodzi, napiszą, pochwalą.

ZDZISŁAW KRYWKO: — Zainteresowania kulturalne rozbudziliśmy i zaspokajaliśmy. To dziś za mało. Trzeba je świadomie kształtować, prowadzić ku



lot. M. Topieński

nych, już byłby — jak tam — teatr muzyczny. Nie szkodzi raz jeszcze zacząć, po dwudziestu i-luś tam latach. Kongres Kultury Polskiej, zjazd partii mówią o konieczności nadgonienia budowy bazy dla prawdziwie dużej kultury, artystycznej działalności zawodowej. Postulat wszystkich działaczy, to baza przede wszystkim w samych Kielcach. Znam pobieżnie program, będzie widoczny zwrot. Mamy pełne warunki do takich

ognisk, nawet mamy w Radomiu przedszkole muzyczne. Żeby każdy miał prawo żyć z muzyką. Zawarliśmy w czerwcu umowę z władzami powiatu Kozienice; potrzebna jest kadra. W swoim czasie zorganizowaliśmy przy SN kurs dla nauczycieli muzyki, coś to dało. Ale dla zapelnienia sal koncertowych tych działań nie wystarczy. Ponad dwa tysiące nauczycieli w Radomiu, nie garna się tłumnie na symfonię. Ugór. Mentalności

pożytecznym i koniecznym. Wejść do nowego teatru w Kielcach — to wejść z czymś więcej, niż do tej pory, na to trzeba już dziś zabezpieczyć bazę, finanse, kadry, program. Stworzyć teatr muzyczny, słowo i muzykę.

Orkiestra nasza bardzo pracowicie spędza czas, jest wykorzystywana do różnych celów, czy nie kosztem rozwoju twórczego? Współpracujemy z dyr. Anbildem od lat. Koncepcja powoływania klubów, cykl „muzyka dla wszystkich”, to tworzenie ruchu społecznego, klimatu dla upowszechniania dobrej muzyki. To integruje organizatorów ze wszystkich placówek kulturalnych. Dziś nie można organizować widowni za wszelką cenę, na wszystko. Czy musi u mnie w ZDK być na koncercie symfonicznym 800 osób? Muszą chcieć sami na to przyjść. I nie po oświecanie ich, robimy to z większą powściągliwością — przez współtworzenie atmosfery spotkania, koncertu. W Starachowicach bywa Reznier, bywa Rajzner. Filharmonię po to mamy w Kielcach, żebyśmy mogli jej słuchać wszędzie, a oni po 30 latach nie mają czym jeździć. W Starachowicach jest święto, kiedy przyjedzie filharmonia, czy orkiestra wojskowa; stać nas na samochody dla nich, na bezpłatne bilety. Wprowadzamy muzyków na spotkania do zakładów, chcemy dzielić się, obdarowywać wzajemnie — pracą i sztuką. Po sukcesach w Magdeburgu, w Warszawie zaprezentujemy muzykę kielecką, jej twórców i wykonawców u nas, cyklem recitali i koncertów.

Zespoły muzyczne powstają z własnej woli, z potrzeby. Współpraca wieloletnia z filharmonią dała dobre rezultaty, nasi amatorzy pokończyli kielecką szkołę muzyczną, a i symfonicy nie stracili na tej ambitnej, potrzebnej pracy. Podniósł się poziom naszego zespołu, nastąpiła odnowa, jest znakomity odbiór ich artystycznej produkcji. Koncerty w Busku, śpiewanie tam, w Cielichocinku razem z kielecką filharmonią jest dla nas zaszczyttem dobrze zasłużonym. Nam to jest potrzebne, muzyka; po wyjściu z hali produkcyjnej wprowadza ład w życie psychiczne, pomaga w ciężkich chwilach. Po to jest sztuka.

Rozejrzyjmy się, czy wszystkie rezerwy są wykorzystane. Pytacie tu wszyscy, co ze zdolnymi dziewczynami? U mnie wykształcona pani od wokalistyki nie dostanie mieszkania, nie zarobi 3 tysięcy złotych, nie będzie miała co robić. Jedna osoba nie zastąpi w upowszechnianiu kultury muzycznej zorganizowanych form. Dziękuję „Przemianom” za to forum; mogłem powiedzieć, że wszystko dobre z Kielc dotrze na prowincję, ale trzeba szukać partnera tam, w kierownikach dużych placówek.

ŚWIĘTOSŁAW KRAWCZYŃSKI: — Przeciw panu Niziur-skiemu, głosowi w bemolu trze-

ba przejść w a-dur. Muzyka dla kultury narodowej doznała w trzydziestolecu największej. Pokazaliśmy światu plejadę kompozytorów, wokalistów, instrumentalistów. I u nas, tutaj, skok ogromny. To ze szkół, jakie są,

z ognisk, zespołów jest ta gęba. Bez tego nie byłoby szczytów, tej ekspansji na cały świat. REDAKCJA: — Jeśli natchnieniem, jak tu mówiono, jest dla artysty zamówienie i słuchacz, jedni z nas zamawiali tu

różne rzeczy, drudzy oferowali się przygotować słuchacza. Dziękujemy za udział w dyskusji, za to, że przez całą jej gamę, z różnych tonacji, możemy wybrać konkrety, postulaty, oferty, pro-boczą partyturę na nowy sezon.



Więcej wody!

Jan Raston

Pewien statystyk utopił się w jeziorze, którego przeciętna głębokość wynosiła 10 cm. Był to oczywiście statystyk amator, nie dostrzegający złudności wskaźników. Nie mniejszy błąd popełniamy na co dzień, wierząc w bogactwo wody, tego podstawowego czynnika wszelkiego życia. Im wcześniej pozbedziemy się złudzeń, tym lepiej dla kraju, jego gospodarki. Niech nas nie mamią tysiące jezior, szeroki nurt rzek.

Polska jest krajem ubogim w wodę. A woda — cenny surowiec. Bez niej — przemysł nam zwiotczeje, umrze rolnictwo. Prawdziwą wartość wody znają bodaj mieszkańcy stepów i pustyń. Nawet nam do głowy nie przychodzi myśl o groźbie stepowienia Polski.

Powtórzmy więc jeszcze raz: nasz kraj jest ubogi w wodę. Tego surowca jest coraz mniej. Eksperti wyliczają, że Polska znajduje się na 26 miejscu w Europie pod względem ilości opadów atmosferycznych. Zasobność w wodę, w przeliczeniu na jednego mieszkańca, stawia nas dopiero na 22 pozycji wśród krajów tego kontynentu. Rocznie średni odpływ wody z polskich obszarów ocenia się na 53 km sześciennie. W latach mokrych ucieka do morza kilkakrotnie więcej tego zyciodajnego płynu niż w okresie posuchy. Rodzi się zatem pytanie: czemu spokojnie patrzymy na te straty? Dlaczego nie mielibyśmy owych zasobów zachować w zbiornikach retencyjnych na czas gorszy?

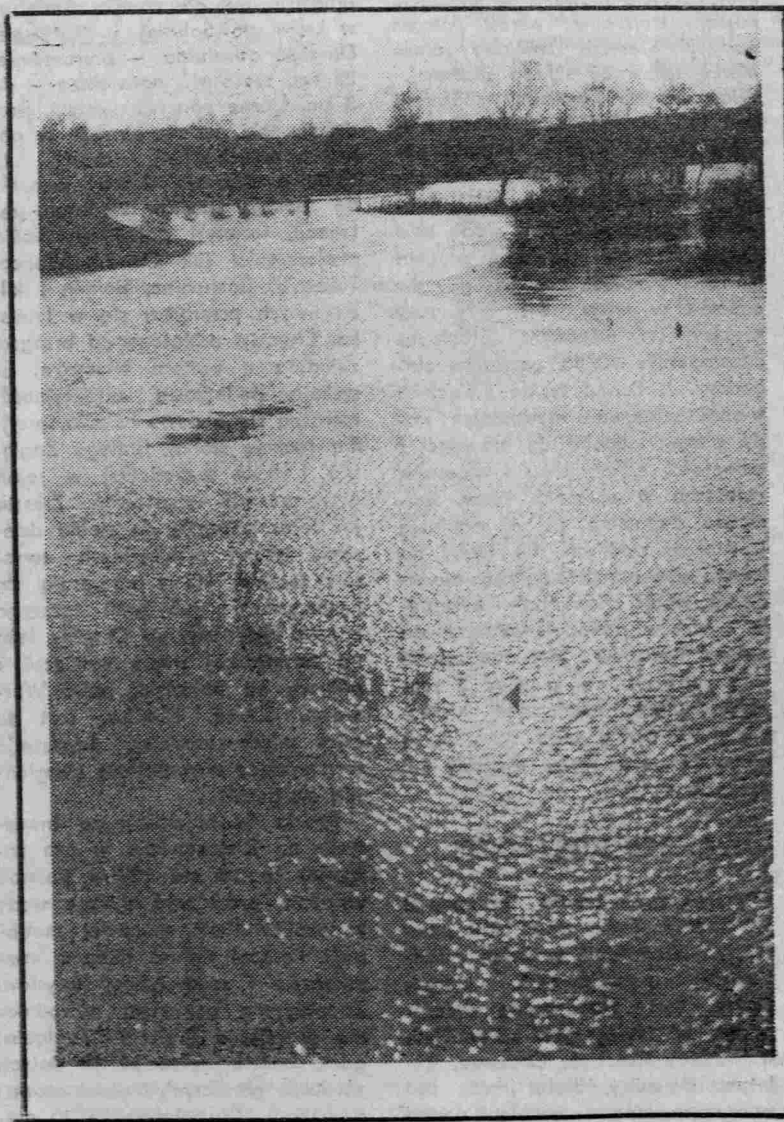
Zresztą, umiejętna gospodarka surowcem wodnym jest niezbędna z uwagi na nierównomierność zapasów w poszczególnych rejonach kraju. Duży nadmiar występuje np. na Podkarpaciu i w Sudetach, natomiast na Śląsku, w Wielkopolsce, Kielecczyźnie odczuwa się coraz ostrzejszy deficyt. Ogółem

biorąc, wielkość deficytu wody w kraju, przy obecnej zabudowie sieci rzek w urządzeniach hydratechnicznych, będzie z każdym rokiem rosła w sposób zatrważający. Zanieczyszczenie rzek odpadami przemysłowymi intensyfikują ów niepokój.

KIELECKA POSUCHA

Problemy gospodarki wodnej narastają z siłą lawiny. Od poprawnych rozwiązań zależy wiele w różnych dziedzinach ekonomicznych. Jest to nie tylko kwestia zaopatrzenia ludności w wodę pitną. To nie tylko interes rozwijających się przemysłów, rolnictwa. To także sprawa rozwoju żeglugi śródlądowej, rybactwa, likwidacji strat powodziowych, wzrostu potencjału energetycznego, ba! nawet rekreacja, sport i turystyka widzą tutaj swoją szansę.

Kielecczyzna należy do regionów, gdzie zasoby naturalne wody są szczególnie niekorzystne. Jeśli na jednego mieszkańca kraju wynoszą one średnio 1800 metrów sześciennych w ciągu roku, to w kieleckim województwie ów wskaźnik niewiele przekracza tysiąc metrów. Na dodatek złego, największe przepływy występują w marcu i kwietniu, zaś najniższe późną wiosną i latem, kiedy akurat wymaga roślina domaga się lepszego nawodnienia gleby. Także przemysł przez kilka miesięcy cierpi na coraz bardziej dokuczliwy niedostatek wody. Jasno z tego wynika, że dalszy rozwój gospodarki Kielecczyzny jest w dużym stopniu uzależniony od rozwiązania wyżej wspomnianego problemu. Pilną inwestycją jest powstrzymanie fali odpływającej bez-



użytecznie podczas powodzi i roztopów wiosennych.

Ważnym rezerwuarem są tzw. wody wgłębne, podziemne. Ale i tutaj nie ma pocieszających wyliczeń. Wielkość zasobów tych wód, ich jakość jak również rozmieszczenie budzą troskę na przyszłość. Obszary deficytowe wód wgłębnych, wynoszą 16 proc. powierzchni Kielecczyny; głównie w paśmie Gór Świętokrzyskich, Dymińsko-Postawickich, w powiatach Sandomierz, Podobnie w rejonach Kazimierza Wielkiego, Busko, Staszów, dużej koncentracji ujęć wód wgłębnych, w wyniku rozwoju przemysłu i urbanizacji, występuje stale obniżanie się lustra wód gruntowych, wysychanie studzien. Do takich miejscowości zaliczają się przede wszystkim Radom, Kielce, Pionki, Jędrzejów. Zwiększające się zagrożenie jest widoczne w rejonie Zagórnia, Sandomierza, Końskich, Opatowa, Skarżyska, Starachowic, Suchedniowa. Eksploatacja złóż mineralnych, rozwój przemysłu cementowego i wapienniczego przyspieszają procesy odwodnienia terenów. W związku z planowanym rozwojem górnictwa odkrywkowego należy spodziewać się, że wielkość obszarów deficytowych wzrośnie przynajmniej o 7 procent. Tak więc łącznie niemal czwarta część kieleckiego województwa będzie odczuwać rosnący brak wody. Są to wyliczenia zaczerpnięte z materiałów z ostatniej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej poświęconej problemom gospodarki wodnej.

Temu zjawisku, oczywiście, trzeba jak najszybciej zapobiec. Należy zapobiec już w najbliższych latach, gdyż w przeciwnym wypadku nastąpi zahamowanie całej gospodarki Kielecczyny. Przewiduje się, że do roku 1990, przy 1,5-krotnym wzroście ludności w miastach, nastąpi trzykrotny wzrost potrzeb wodnych. Jeszcze większe zamówienie na wodę składa przemysł.

Jak bardzo jesteśmy spóźnieni pod tym względem, świadczą nie które chociażby fakty. Niemal połowa miast w województwie nie ma wodociągów. W roku 1970, zbiorowym zaopatrzeniem w wodę było objęte niewiele ponad 3 procent ludności wiejskiej, podczas gdy ów odsetek w kraju był trzy razy większy. (W ostatnich latach ta dysproporcja uległa pewnemu złagodzeniu). Ponad tysiąc kieleckich wiosek odczuwa niedostatek wody pitnej; trzeba ją dowozić z odległości nieraz kilku kilometrów, zwłaszcza w okresach suszy. Rolnictwo dopomina się o regulację stosunków wodnych. Bo jakby na kpiny, w sytuacji ciągłego niedostatku wody, równolegle występuje zjawisko powodzi. Ponad sto tysięcy hektarów jest zagrożone falą powodziową, a więc 5 procent ogólnej powierzchni Kielecczyny. Straty z tego powodu są duże. Od 1951 roku wyniosły 1,2 miliarda złotych.

CHĘCIŃSKIE MORZE

Program rozwoju gospodarki wodnej do roku 1990 przewiduje wiele ważnych przedsięwzięć inwestycyjnych, których celem jest złagodzenie dysproporcji. W istniejących zbiornikach w Brodach Iłżeckich, Cedzynie, Rejowie, Drzewicy, Sielcu może być zmagazynowane niewiele ponad

11 mln metrów sześć. wody. Bardzo mało! Zaledwie pół procenta rocznego odpływu kieleckich rzek. Średnio ów wskaźnik w kraju jest osiem razy większy, a przecież Polska biednie wygląda na tle innych państw. Świadczy to dobitnie o kieleckim zapóźnieniu. Przyspieszenie jest niezbędne. Zbiornik w Sulejowie, dużych rozmiarów, nie wchodzi w rachubę, gdyż pełni swe funkcje użytkowe na rzecz sąsiedniego województwa.

Planiści przewidują, że w ciągu najbliższych kilkunastu lat łączne nakłady na gospodarkę wodną regionu wyniosą przynajmniej 35 mld złotych. Wybuduje się 36 zbiorników retencyjnych w kieleckim regionie. W ten sposób 400 mln metrów sześć. wody. Jest to program ambitny, wyraźnie złagodzi kłopoty w bilansie wodnym Kielecczyny, jak też odbije się korzystnie w skali całego kraju zmniejszając fale powodziowe, oddziałując na warunki żeglowności głównej rzeki – Wisły. Jednakże dla porównania warto wspomnieć, że jeden tylko zbiornik górski w Solinie ma o sto milionów metrów sześciennych większą pojemność. Tak więc kielecki program budowali umiarkowani realiści.

Niewątpliwie największą inwestycją będzie tzw. Morze Chęcińskie. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, przedsiębiorstwa wykonawcze wejdą na plac budowy już w przyszłym roku, aby rozpocząć pierwsze prace przygotowawcze. Jezioro pod Chęciami będzie największym sztucznym zbiornikiem w kraju pod względem powierzchni. (Dopóki inna inwestycja go nie zdegradowała!). Zajmie 3580 hektarów. Zgromadzi 168 mln metrów sześć. wody, co oznacza, że również i pod tym względem będzie imponujący: uplasuje się na trzecim miejscu w kraju, po Solinie i Rożnowie. Długość absolutna – przynajmniej 25 km, szerokość największa – do 3 km. Liczne półwyspy, zatoki, fiordy, wysepki, lesiste obrzeża w południowo-zachodniej części, to wszystko stworzy dobre warunki do rozwoju sportów wodnych, rekreacji, turystyki pobytowej. Takie miejscowości jak Ostrów, Wolica, Tokarnia, Bocheniec, Bolmin i kilka innych przerodzą się w letniska. Chęciny, oddalone od brzegów zaledwie o półtora kilometra, uzyskają dodatkową atrakcyjność; rozrosną się o nowe osiedla, przyjmą funkcję stolicy. Białego Zagłębia i bazy wypadowej w rejon przybrzeżnych wczasowisk. Zresztą już teraz ściągają do siebie dziesiątki tysięcy przejeżdżnych turystów rocznie, którzy interesują się historycznymi zabytkami starego miasta. Dodajmy, że Chęciny leżą na turystycznej trasie wiodącej z północy na południe, przez Warszawę, Kielce, Kraków. Jest to szlak międzynarodowy. Inwestycje towarzyszące niewątpliwie uwzględnią ów aspekt.

Będzie to najważniejsza inwestycja na Kielecczynie w tym zakresie. Zapora na Nidzie pozwoli wyraźnie ograniczyć deficyt wody w okolicy Kielca, przyszłej metropolii liczącej ćwierć miliona mieszkańców i setki tysięcy turystów. Zapobiegnie procesom odwodnienia w rejonie Białego Zagłębia, gdzie będzie przecięć 19 dużych kopalisk górniczych eksploatowanych nawet do głębokości 60 me-

trów wgłęb ziemi. Morze Chęcińskie uraduje także smakoszy ryb słodkowodnych, gdyż stworzy idealne warunki powstania wielkiego gospodarstwa rybackiego.

Z innych większych inwestycji wymieńmy zbiorniki: Chańcza – na rzece Czarniej Staszowskiej, Domaniew na Radomce, Wióry na Świślinie, Marcinków na Kamiennie, Baszowice na Pokrzywianie, Orońsko na Oronce, Wola Libertowska na Pilicy, Jazdowice na rzece Nidzicy. Będą mieć powierzchnie po kilkaset hektarów, a niektóre dużo mniej. Jednakże spełnią swą wielofunkcyjną rolę w swej okolicy, nie pomijając funkcji rekreacyjnej dla ludności najbliższych miast.

MAŁA RETENCJA?

Wbrew pozorom, radykalnym sposobem na posuchę w kraju nie są gigantyczne inwestycje hydrotechniczne pochłaniające miliardy, angażujące przedsiębiorstwa wykonawcze przez kilka lat trwania budowy. Już nasi pradiadawie wiedzieli, że mała retencja, licznie rozsiana po kraju, spełnia lepiej swe zadania. Mała retencja to kilkuhektarowe, a często jeszcze mniejsze zbiorniki na rzeczulkach, potokach, drobnych dopływach ważniejszych arterii. Tanio i szybko. Wszędzie można znaleźć kawałek nieużytków; zapora ziemna budowana systemem gospodarczym, ewentualnie dodatkowo obwałowana z którejś strony i zbiornik gotów! Można go wykonać w ciągu kilku miesięcy. W każdej gminie powinno powstać przynajmniej kilka takich mikro-zalewów, o znaczeniu wielofunkcyjnym. Taką zresztą kampanię starła się rozwinąć poczytna gazeta warszawska – „Życie Warszawy”. Jakże słuszną to koncepcja!

W masowości zbiorniczków leży ich wartość gospodarcza i społeczna. W skali województwa, kraju, przynosi to ogromny pożytek. Raz na zawsze likwiduje groźbę powodzi, a tym samym chroni przed miliardowymi stratami. Jeszcze większe znaczenie mają takie zbiorniki dla rolnictwa, re-

kreacji, rybactwa. Pierwszorzędną rolę pełnią w stosunku do rzek żeglownych, spłaszczając falę w czas powodzi, regulując przepływy w okresach suszy. Poprawa żeglowności głównych rzek, zwłaszcza Wisły, Odry, rozwiąże narastające kłopoty w dziedzinie transportu, komunikacji. Jak wiadomo, najtańszym środkiem lokomocji jest transport wodny. Mała retencja plus niezbędne inwestycje na Wiśle w postaci kaskady stopni wodnych, pozwolą wreszcie uporządkować odwieczny problem dzikiej rzeki.

Za kilkanaście lat, takie miejscowości nadwiślańskie jak Nowy Korczyn, Polanica, Tarnobrzeg, Sandomierz, Solec, przerodzić się mogą w duże rzeczne porty kieleckiego regionu. Transport milionów ton węgla dla elektrowni gigantów, wywóz materiałów budowlanych, innych kopalin, płodów rolnych nowoczesnymi barkami, poprawi warunki transportowe w kraju. Oto jak rozległe reperkusje ekonomiczne i społeczne widać się z problematyką gospodarki wodnej.

Sytuacja wielce osobliwa: mówimy o budowie nowych zbiorników retencyjnych, tymczasem należy w pierwszej kolejności o odbudowę, modernizację piętna i zapór istniejących. A wymaga takiej interwencji około 400 obiektów na Kielecczynie. Projektuje się, aby w następnej pięcioletce wykonać 2280 piętna rzek, mikrozalewów, zbiorników przeciwpożarowych, nie licząc modernizacji stawów rybnych. Wartość tych inwestycji realizowanych głównie w czynnie społecznym przekroczy miliard złotych.

Wydaje się, że dość jasno została nakreślona ranga problemu. Gospodarka wodna w regionie kieleckim coraz częściej bywa dyskutowana na wojewódzkich naradach, sesjach, konferencjach naukowych. Dobrze byłoby, aby ta troska o przyszłość pięknej ziemi kieleckiej zeszła również niżej, na szczebel powiatów i gmin; inicjatywa terenu jest ze wszech miar pożądana.

JAN RASTON

BOGUSŁAW WIECZOREK

FRASZKI

WŁASNE ZDANIE

Własne zdanie, bądźmy szczerzy,
nie raz pochodzi z kradzieży.

WESTCHNIENIE

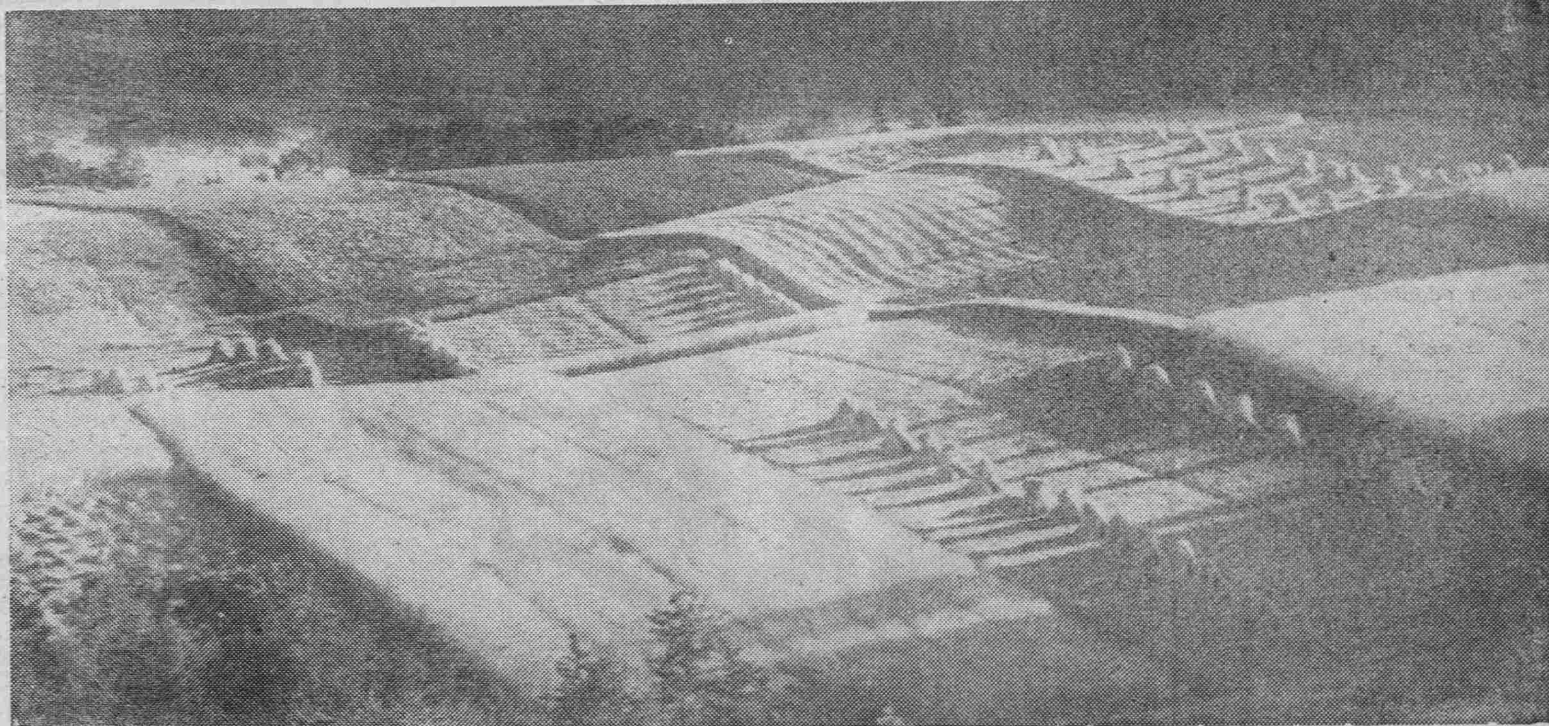
Gdyby nasz handel częściej pamiętał
o galanterii... wobec klienta.

AMOR

Amor dość często strzela
z nabitego portfela.

WZGLĘDNOŚĆ

Radują się pchły,
gdy schodzą na psy.



fot. T. Jakubik

W „Literaturze” z 4 lipca 1974 roku na stronie 14 u góry widnieje czarno na białym wpadający w oko tytuł: „LITERATURA PO KIELECKU”.

Uczciwie trzeba przyznać, że część historyczną autor, czyli Tadeusz Wiącek, opanował niemal znakomicie. Czas teraźniejszy — czy to z powodu braku rzeczowego materiału, czy też ze względu na pośpiech — został przedstawiony, delikatnie mówiąc, w sposób odbiegający od prawdy; pełno tu nieścisłości, nieprawdziwych informacji, a jeszcze więcej luk.

Zdaniem Tadeusza Wiącka np. autor jednej książki nie jest pisarzem (cytuje: „...trudno uznawać za pisarza kogoś, legitymującego się tomikiem wierszy lub prozy...” — Pisarz zaczyna się dopiero w momencie otrzymania legitymacji ZLP. Do tej pory, jako larwa mająca pewne szanse, aby po okresie terminowania przepoczwarczyć się w zalegalizowanego literata, nie powinien się nawet do swoich inklinacji pisarskich przyznawać.

Autorów jednej książki dostrzegają tylko krytycy oraz starsi koledzy, ale w większych ośrodkach i skupiskach literackich. Ba, nawet dla takich, którzy legitymują się właśnie jednym zbiorkiem jest specjalne stypendium literackie im. Tadeusza Borowskiego. Przyznawane przez ZG ZLP.

W dyskusjach i polemikach o współczesnej literaturze polskiej renomowani krytycy i pisarze również nie pomijają autorów jednego zbiorku prozy czy wierszy.

Pozwolę sobie przypomnieć, że przed kilku laty Julian Przyboś właśnie autora jednego zbiorku (notabene wydanego przez ZSP, a nie żadne uznane wydawnictwo) typował na księcia młodych poetów. Redaktor Wiącek miałby obiekcje, czy można w stosunku do takiego „deklukwenta” użyć w ogóle okreś-

polemiki

Niedostatek lub nieżyczliwość

Rena Marciniak

lenia: poeta. Podobnie potraktowałby pewnie innych autorów jednej książki, o których często się pisuje na łamach prasy literackiej. Ale oni mają szczęście mieszkać poza Kielcami i Kielecczyną, a tam nikt nie zabrania im czuć się poetami bądź prozaikami.

Pomijam już fakt, że tworzyli i tworzą nadal pisarze legitymujący się sporym i uznanym dorobkiem, którzy nie są członkami ZLP. I zabrakłoby palców u rąk i nóg, aby ich policzyć.

W paru felietonach drukowanych w „Słowie Ludu”, a także w „Literaturze po kielecku” niemal z uporem maniaka powtarza Tadeusz Wiącek, że prezesem Klubu Literackiego został autor jednego tomiku „Kłatką” — Bogdan Pasternak. Aż dziw, że taki niby skrzętny kibic środowiska literackiego zapomniał, iż w 1965 roku w szkatułce grupy „Ponidzie”, którą wypuściło na rynek czytelnicy Wydawnictwo Łódzkie, zbiorkiem „Wiklinowe słowa” zadebiutował tenże Bogdan Pasternak. Przypominam o tym czytelnikom o-

raz autorowi owych felietonów i mam nadzieję, że po raz któryś nie zechce się, on już rozmyślnie pomylić. Również nieścisła jest informacja o członkach ZLP mieszkających na Kielecczyźnie — pominięty został we wspomnianym artykule Sylwester Banaś, kilkakrotnie nagradzany autor książek dla dzieci i młodzieży.

Wracając zaś do przepięknie skarykaturowanej, umiejętnie streszczonej i opatrzonej wyrwanymi z kontekstu zdaniami dyskusji „O kieleckim środowisku literackim” opublikowanej w 2 numerze „Przemian” z 1974 roku ośmielię się zauważyć, że właśnie o potrzebach i problemach mikrośrodowiska literackiego miała ona traktować. Dlatego też zaproszono doń władze. Gdyby była pomyślana jako seminarium warsztatowe czy rozważania o nowych tendencjach w literaturze współczesnej, ściągnięto by do redakcji czołowych krytyków z całej Polski, albo przynajmniej z Krakowa czy Warszawy.

O pisarzach starających się o przeniesienie do Kielc nie chcę

wspominać, bo sprawa to raczej niechlubna. Jak wyświechtany frazes powtarza się anegdotkę o pisarzu, który poprosił o cztery pokoje. A może tyle potrzebował, może ma liczną rodzinę, a jeden pokój dodatkowy ma przecież zagwarantowany ustawowo? Dlaczego w tej szermierce dotyczącej ściągania pisarzy, nikt nie wspomina o tym twórcy, który poprosił o jeden pokój, ani o tym, komu zaproponowano Czarnolas i jaką decyzję podjęła dyrekcja Muzeum Świętokrzyskiego? Ale ponoć ta sprawa ma jeszcze dalszy ciąg, więc cierpliwie czekajmy na finał. O trzech mieszkaniach rocznie lepiej było nie wspominać w „Literaturze”, bo wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, a najlepiej wiedzą pisarze, którzy nie mogą doczekać się odpowiedzi na swoje podania.

To, że trzeba środowisko wzmocnić, zasilić, a przez to jeszcze bardziej zdynamizować, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Oddział jest sprawą konieczną.

O niedoinformowaniu autora „Literatury po kielecku” świadczą chociażby takie zdanie: „...środowisko nie walczy o swoją twórczość, o ambicje, o treść i formę uprawianej literatury...”.

Zarówno poszczególni autorzy, jak i całe środowisko, próbują „walczyć” właśnie o twórczość, o to, by książki złożone w wydawnictwach i opatrzone pozytywnymi recenzjami szybciej dotarły do czytelnika. Ale o to powinien raczej zabiegać Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego. Współpraca z Wydawnictwem Łódzkim nie przekroczyła jeszcze fazy rozmów wstępnych, plany ciągle się zmieniają. Literatura piękna przegrywa z literaturą faktu i wspomnieniami.

A były wszakże piękne postulaty, aby przyspieszyć wydanie drugich książek, lecz utknęły w magmie innych postulatów. Wiadomo, że w wydawnictwach centralnych czas oczekiwania na wydanie tomiku wierszy wyno-

si 4-5 lat. Wydawnictwa regionalne mają szansę skrócić ten okres do roku, ewentualnie dwóch. Przykład — Ossolineum, Pojezierze, Wydawnictwo Poznańskie, Morskie. Jednakże te oficyny preferują przede wszystkim twórczość autorów ze swojego terytorium. Kielce są związane z Wydawnictwem Łódzkim, ale związek to — przynajmniej do tej pory — niezbyt udany, terminy oddalają się jeden za drugim.

Na domiar złego niedawno wyszła jeszcze nowa ustawa o dofinansowaniu tomików poetyckich, które uznano za „produkt deficytowy”. Skorzystały z tego wydawnictwa nader skwapliwie. A redaktor Wiśniewski znów potwierdza, że jest niedoinformowany pisząc: „widać nie są to tomy zbyt rewelacyjne, skoro zalegają wydawnicze biurka” i należy je dofinansować.

Niekoniecznie są to książki gorsze od tych, które pojawiają się w witrynach księgarskich, skoro zostały zaakceptowane do druku.

W swoim zaciekrzewieniu felietonista „Słowa Ludu” nie dostrzegł nawet tego, co zrodziło się m.in. z inicjatywy jego redakcyjnych kolegów, czyli „Bazaru poetyckiego”, nie dostrzegł także Literackiej Biblioteki „Przemian”, która została jednak zauważona przez publicystów i krytyków z zewnątrz: zapomnieli, że działa na Kielecczyźnie Korespondencyjny Klub Młodych, że odbywają się spotkania i seminarium warsztatowe...

Tomiki Biblioteki „Przemian”, dyskusje warsztatowe i spotkania młodych świadczą, że środowisko ma ambicje i nie lekceważy ani treści, ani formy. Te poezynania dowodzą, że piszący myślą nie tylko o sprawach bytowych, które skądinąd nie są wcale bez znaczenia.

Nikt nie ma pretensji, że działacze i rozmaite związki troszczą się o sportowców, że ułatwiają im życie, aby mogli skoncentrować się na uprawianiu dyscypliny sportu, aby bez zaprzętania sobie głowy sprawami bytowymi i mieszkaniowymi spokojnie trenowali, ale rodzi się fala protestu, jeśli ludzie parający się piórem ośmielają się mówić o swoich przyziemnych problemach.

Jeśli nie zostaną uwzględnione potrzeby środowiska literackiego oraz załatwione owe legendarne podania pisarzy wyrażających chęć przeniesienia się na Kielecczyznę, to zarówno miejscowi członkowie ZLP i ci „obnoszący się jako pisarze”, jak i twórcy spoza województwa zaczną wierzyć, że nie tylko redaktor Wiśniewski nie kocha piszących. A sekretarz ZG ZLP podczas następnej wizyty będzie znów zdumiony, że od trzydziestu lat niewiele się zmieniło, natomiast prezes ZG ZLP — Jarosław Iwaszkiewicz w dalszym ciągu będzie próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego piszący uciekają z Kielc. „Coś tu jest, że ludzie nie zostają. Czy to niedostatek, czy niechęć...”. („Echo Dnia” 1974 nr 137).

RENA MARCINIAK



fot. A. Pęczalski

inaczej



Znaki drogowe

Jacek Głazewski

Współczesne państwa cywilizowane przeżyły w ciągu niezbyt długiego okresu dwa swoiste wstrząsy. Jednym z nich był powszechnie znany raport Klubu Rzymskiego — „Granice wzrostu” opracowany przez naukowców z Instytutu Technologii w Massachusetts, drugim podwyżka cen ropy naftowej i jej produktów. Te pozornie odległe zjawiska są ściśle ze sobą związane, wynikają z tych samych przyczyn.

Przed paroma miesiącami z okazji jubileuszu — „Nauka Krakowska w XXX-lecie Polski Ludowej” — odbyła się w Krakowie sesja naukowa „Ekolo-

giczne uwarunkowanie zdrowia i choroby a prognozy przetrwania ludzkości”, udział w niej brali zarówno humaniści jak i przedstawiciele nauk ścisłych, przyrodnicy, prawnicy i reprezentanci nauk społecznych. Motyw, „aki łatwo udało się prześledzić w wypowiedziach dyskutantów, to obrona człowieka przed nim samym. Sesja ta miała swoje znaczenie dla pewnego kręgu ludzi nauki, można jednak stwierdzić, że w opinii publicznej przeszła prawie bez echa. Tę sytuację dość trafnie określił literat Jerzy Broszkiewicz: „Są takie miejsca na ziemi, gdzie gwałt zadawany biosferze stwarza zagrożenie zgoła śmier-

telne. Równocześnie nie bez zdumienia obserwuję zjawisko odmienne: obojętność. Tak jak z kosmonautyką. Wpierw cały świat wołał Gagarin! Potem cały świat patrzył bez tchu na pierwszy krok Armstronga. Dzisiaj — przeciętna jednostka ludzka — bioetyczna — ziewa czytając informacje o „Skylabie”. Ta sama jednostka zaczyna również ziewać, gdy mowa o biosferze, ekologii, o rzekach bez ryb, lasach bez liści etc.”.

Kraje Trzeciego Świata nie chcą słyszeć o ochronie biosfery, dla nich jest to wybór bezwzględny, zatrute rzeki lub śmierć głodowa. Siegnąć bliżej można przekonać się, że niezbyt zamożne w przemysł województwo białostockie interesuje się przede wszystkim inwestycjami przemysłowymi, których nie zawsze rozsądny wybór i lokalizacja już doprowadziła do zniszczenia niektórych unikalnych w swojej urodzie jezior. A Kielecczyzna? Czy i tu nie znajdzie się wielu niepokojących przykładów poczynionych od lokalizacji w niezbyt dużej odległości od siebie szpitala wojewódzkiego i cementowni?

Rozwój cywilizacji i coraz większe uprzemysłowienie prowadzi — co jest swoistym paradoksem — do coraz większej ilości chorób, pomimo że poprawia się zarówno standard życia jak i warunki pracy. Ilość substancji szkodliwych w powietrzu, wodzie i glebie — a co za tym idzie — w pożywieniu, wzrasta do niebezpiecznych granic. Rów-

nie, a może nawet bardziej niebezpieczne są zaburzenia w mniej uchwytnej sferze, jaką jest dziedzina stosunków międzyludzkich. Poczucie osamotnienia, brak kontaktu z ludźmi, poczucie niemożności wywiązania się z podjętych obowiązków, stała rywalizacja i ciągły pośpiech, brak zrozumienia innych przy stałym przemęczeniu, powodują coraz większą ilość załamów psychicznych, prób samobójczych, alkoholizmu, lekomanii a nawet narkomanii. Psychiatrzy notują coraz szybszy wzrost nerwic i stanów depresyjnych, zaburzeń spowodowanych uszkodzeniem ośrodkowego układu nerwowego.

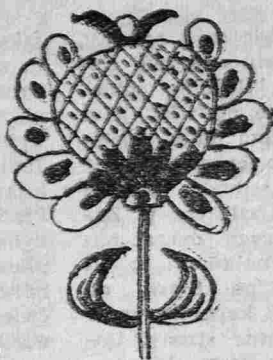
O tym wszystkim społeczeństwo jest zbyt mało informowane, a możliwości działania profilaktycznego znajdują się w praktyce poza możliwościami działania lekarzy. Docent Pawlica, filozof i etyk stwierdził na krakowskim sympozjum, że nie bez winy są tu reprezentanci nauk przyrodniczych, którzy zajmując się człowiekiem zapominają, że jest on przede wszystkim istotą społeczną a wszystkie sytuacje stressowe, trudności i konflikty społeczne i moralne prowadzą często do stanów patologicznych. Podobnie przedstawiciele nauk humanistycznych, a przede wszystkim społecznych, nie biorą pod uwagę tak banalnej prawdy, że człowiek jest nieodłączną częścią przyrody „i że wszystkie bio-, chemo-, fizjo-, neuroelektrofizjologiczne i inne procesy mają istotny wpływ na jego energię, aktywność, samopoczucie a w konsekwencji na subiektywne i obiektywne zdrowie.”

W obecnej dobie wszystkie poważniejsze a nieraz i drobne decyzje podejmują się w oparciu o opinie ekspertów. Dotyczy to stanu zanieczyszczenia atmosfery, wody, gleby i żywności, oceny przydatności i jakości materiałów budowlanych, opinii o lokalizacji obiektów przemysłowych, rozwiązań urbanistycznych itp. Jeżeli jednak opinie te okazują się w swoich konsekwencjach nieraz szkodliwe, to, jak stwierdza inny z dyskutantów, ekonomista i prawnik doc. Borkacki „to albo ci eksperci nie znają się na rzeczy, albo też są oni ludźmi stojącymi bardzo nisko moralnie, podbudowując niejednokrotnie wbrew własnemu przekonaniu i rzetelnej wiedzy takie przedsięwzięcia, które by z góry należało odrzucić”.

Wiedza o zdrowiu z trudem przenika do świadomości społecznej, jest to przede wszystkim wiedza o jedności świata żywego, o naturalnym obiegu pierwiastków w przyrodzie, który, gdy zostanie przerwany, powoduje choroby. Są to prawdy elementarne, proste, które powinny być przyswojone tak powszechnie jak miary czasu czy znaki drogowe. Czy nauka zdąży i czy potrafi postawić znaki ograniczenia szybkości lub zakazu wjazdu tam, gdzie droga jest zbyt ryzykowna lub niewłaściwa technika jazdy może doprowadzić do katastrofy?

JACEK GLAŻEWSKI

reportaż



Pałę Rejów

Olaf Leśny

W mełnie pani Janiny spędziłem miłe chwile. Nie spodziewałem się, że właścicielka prywatnego baru przyjmie reportera z taką serdecznością. Zresztą nie zanosilo się na nie dobrego, kiedy wyjrzała przez lufcik, z ondulacją zmierzwioną i złym głosem: a czego tam! Stałem wtedy w dziedzicznym ogrodzie, w trawach rozgrzanych sierpniowym południem. Uparcie twierdziła, że właścicielka wyjechała, zaś bar nieczynny. Pani Rybicka — rzekłem wówczas rozgniewany — poznaję panią! Albo będziemy rozmawiać ze sobą jak dorośli, albo pójdę sobie precz do diabła. W wiadomej sprawie nie ja, lecz pani jest petentką.

Teraz już dobrze, całkiem dobrze. Siedzimy w altanie poroślej ciemnozielonym kożuchem latorośli. Kiście winogron zwisają nad głową. Kragły stół z prostych desek, prymityw ławek, turkot przelatujących pociągów w pobliżu, ale nam błogo w tym ogrodzie urokliwym, w samo południe. Sączymy tanie wino, kawkę szatana, gawędzimy. Ludziom trzeba tego ciepła, zrozumienia, jeśli nie serdeczności, zwierzeń, gdy czas taki nadszedł. I wyzalic się kiedyś trzeba z samotniczego życia, nawet przed intruzem. Blisko pół wieku już tutaj mieszka, nad tą rzeką bystrzycą, obok jeziora. Szesnaście lat miała, gdy matka naraiła rżnię. O czterdziści lat był starszy, ale przystojny, kształcony, prosto się trzymał. I mocny jak tur. Wyszła za niego, pobudowali ten dom, pół z drewna, pół kamienny, co teraz chyli się zgrzybiaty. Wyszynk założyli, kuchnię prowadzili. Za okupacji też. Oeh, cośmy przeżyli wtedy — mówi pani Janina. — Gestapowiec sztyletem orgię wymusił, babcia z tego świata zesła. Poskarżyliśmy się jego władzom, zboczenia przykładnie ukarał.

Nie ma już rżni, tragicznie zginął. Brakuje starszej kobiecie przyjaciela, w grób wstąpił. Dzieci dojrzały jak owoc, z rodzinnego drzewa odpadły. Sama Janina została w tym domisku szerniutym od słoty jesiennej i północnych wiatrów. Młodzi my chwilę, rubia w kielisz-

kach słodkawą woń roznosi. Kudłaty Ciapciak przy szopce przylegi, nie dzwoni łańcuchem, ozorek zwiesił, pogodził się z moją obecnością. Na gruszy ptak krzyczy.

— Chłopcy z bandy Kryczmanika pijali u pani...

Kobieta zneruchomiała. Czekając to wino liche, wśluchując się w turkot pociągu. Wiem, co mi powie. Ze starej kobiecie ciężko samotnie żyć, w tej trudnej dzielnicy, wśród pijaków, złodziei, chuligaństwa wszelakiego. Ze zadzierać z bandą było niebezpiecznie. Groziło wypadkiem. Ona — właścicielka prywatnego baru — musiała mieć przecież opiekuna, który by ją chronił. Zygmunt miał autorytet. Jego się bali. Wystarczyło, że spojrzal na kogoś; aby tamten zaczął trząść portkami. Tak, Zygmunt był jej potrzebny. Przychodzili, przeważnie już wypici. Czasem przynieśli coś ze sobą. Bo wino dla nich tyle, co woda. Janinie gorzałką handlować wzbroniono. Owszem, siedzieli nieraz do świtu, śpiewali, śpiewali, czasem w żartach tarosili się, albo w karcieci z nudów łupali. Noce zimowe są takie samotne.

— Zygmunt nie pozwalał mnie skrzywdzić...

— A Kania dlaczego musiał umrzeć?

Przystęga na Chrystusa, że Kryczmanik nie wychodził tego wieczoru. Ani razu nie wychodził na dwór. Tak, rzecz pewna: pani Rybicka solidarna, gorliwie solidarna. Kryczmanik kiedyś wrócił, ciężką ma rękę. Rybicka chce żyć. Przez jakiś czas wśluchuję się w samotny krzyk ptaka na gruszy. Ciapciak się przebudził, głowę przekreślił, warknął. Elektrowóz wydał z siebie pospieszny gwizd.

— Kania za dużo wiedział, prawda? — spytałem.

Pociągi do Kielc, Końskich, zdążają na północ przez Skarżysko, przejeżdżają przez teren podmiejski gęsto porośnięty lasem. Sosnowy drzewostan ciśnie się na tory kolejowe z dwóch stron. W fałdach ziemi rosną głogi, tarniny, na wzgórkach las rzadnieje.

Obok zalew ciągnie się długa kiszka pośród wysokopiennych brzegów, łysiejących wydmykami piachu, by w końcowej partii wpaść w szeroki akwen skrzepowany kamienną tamą. Plaża zaludnia się na kilka miesięcy. Droga, która wtedy prowadzi, rozwidla się w pewnym miejscu. Lewą odnogą dojdiesz do ulicy Słonecznej, gdzie przy społecznym muzeum spią zeszlowieczne lokomotywy. Jest też kawiarnia blisko, w budynku klubu wioślarzy. Dostaniesz tu piwo cienkie, wieprzowinę z musztardą. Nie przychodź tutaj wieczorem, nie obnoś obcej twarzy; łatwo możesz oberwać. Gdy zaś zde gustowany skreślisz w prawą stronę, trafisz właśnie na bar pani Janiny o przyjemnej nazwie „Rejowianka”. Tu biją w szereg jeszcze dokładniej. Pije się wódkę, omawia w ścisłym gronie projekty czynów przestępczych, które będą spełnione, dyskutuje o podziale łupów, zaś w chwilach rozterki maca się pod stołem chichotliwe dziewczynki. Tak bywało.

To dzielnica Rejów, siedlisko złodziei, paserów, niemych świadków, wspierających od wielu lat swym milczeniem grupy przestępcze. Owszem, mieszkają też uczciwi, garstka ich nieduża, ciężko przestraszona. Specjalnością grup przestępczych było napadanie na towarowe pociągi. Właśnie w tym miejscu lesistym, przy zalewie, często przystawały przed semaforem oczekując zielonego światła. Włamywacze zrywali wówczas płozy na wagonach, wpadali do środka zrzucając na ziemię wszystko, co wpadło w rękę. Zimą najczęściej, nieraz kilka razy dziennie, wskakiwali na węglarki. Węgiel chętnie był nabywany przez mieszkańców Rejowa. Węgiel kradziony. O tym się wiedziało. Był to bardzo łatwy sposób zarobku na wódkę. Prokurator ze Skarżyska mgr Włodzimierz Jastrząb twierdzi, że grupy przestępcze Kryczmanika, Węgierka, w ciągu ostatnich czterech lat dokonały kilkuset czynów karalnych, rabując społeczne miliona złotych. Kradli dosłownie wszystko. Niczym nie gardzili. W rejestrze skradzionych rzeczy figurują czajniki z gwizdkiem, walizki, piżamy, części do maszyn, blacha, gąsior jodyny, beczki z piwem, skrzynie z szampanem, żubrówka. Ba, nawet piłki do gry kradli, szufelki na śmieci, jelita do wędlin, zeszyty szkolne, strzały do łuków. Na swoim koncie mają meble, worki z grochem, materiały budowlane, drób, odzież, płyn owadobójczy, lodówki, pojemniki z farbą, części centralnego ogrzewania. Setki rozmaitych artykułów, które później starali się spieniężyć wśród mieszkańców za śmiesznie małą cenę. Najchętniej jednak współpracowali z paserami. Gdyby nie było łatwego zbytu, przestępstwa byłyby rzadsze, mniejszych rozmiarów. Ograniczałyby się do kradzieży alkoholu i innych towarów dla własnych potrzeb bandy. Paserzy intensyfikowali niejako aktywność grup przestępczych.

Pół tysiąca włamań w ostatnim czterolecu. Postawiono w stan oskarżenia 24 osoby; większość z nich za krótkimi. Ale przecież kradzieże w dzielnicy Rejów zdarzały się także w poprzednim okresie, od lat powojennych. Odprawiacze pociągów meldowali uszkodzenia plomb, braki ładunków. Użytkownicy, przeważnie przedsiębiorstwa uspołecznione, składali zażalenia na kolejnictwo. Kolejjarze pisali namiętne raporty, że to wina ładowaczy z zakładów pracy. Posądzano magazynierów, szukano winnych na innych stacjach, komisje tworzyły w natchnieniu tasiemce sprawozdań. W końcu sprawy umarzono. Przyczyny: brak dostatecznych dowodów winy. Najczęściej — wskutek niewykrycia sprawców. Zresztą komu tam chciało się czynić raban za kradzież antalka piwa, na dodatek z browaru państwowego. Spisywano na straty, bo tak najłatwiej. A przestępców coraz bardziej to ośmielało. Z grupą złodziejską byli powiązani niektórzy kolejjarze, funkcjonariusze ochrony kolei, dyżurni ruchu na bloku. Zatrzymywali pociągi pod semaforem, aby włamywaczom łatwiej się kradło. Nie można też z całą stanowczością wykluczyć współudziału innych urzędników, łapówką przekupionych.

Zygmunt Kryczmanik był duchowym przywódcą przeważnie młodych włamywaczy. I chociaż w 25 tomach akt sądowych eksponuje się innego przestępcę, niejakiego Ryszarda Węgierka, jednak chyba właśnie Kryczmanik miał największy posłuch. Starszy wiekiem, z zawodu ślusarz wyróżniający się wstrętem do uczciwej pracy, pijak i łazęga, wielokrotnie karany, wciągał w przestępczy proceder nawet uczniów szkolnych. Umie się bronić. Akt oskarżenia zarzuca mu stosunkowo niewiele przewinień — w porównaniu z innymi, jednak przecież i jemu uskladało się na ładny wyrok. Kryczmanik jest podejrzanym o kradzież węgla przynajmniej 30 razy. Poza tym o liczne włamania do wagonów i przywłaszczenie dwóch lodówek, beczki kiszonych ogórków, 5 puszek żółtek, kilku beczek lepiku, 6 worków nawozów sztucznych, 5 kwintali ziemniaków, szlifierki, krążków drutu, 10 ton cementu, rur o różnym przekroju, plandeki itp. Wszelkstronnie uzdolniony, jak widać. Poza tym prokurator gniewa się na niego za to, że udzielił Janowi Urbańczykowi i Edwardowi Bednarczykowi korzyści materialnych w postaci stułotowego banknotu i dwóch paczek „sportów”. Ci panowie byli funkcjonariuszami Służby Ochrony Kolei i za wyżej wspomnianą korzyść majątkową odstąpili od ujawnienia kradzieży węgla.

Kryczmanik najlepiej czuł się w grupie, w skład której wchodził: Wojtachnio, bracia Dąbrowscy, Kopererek, Malik, bracia Kwaśniewscy, Dziubiński, Bugała, Kania. Ten ostatni zginął później tragicznie.

Kontrowersyjną postacią jest Ryszard Węgierka, łalusi i bawidamek, syn biednych rodzi-

ców, z wielodzietnej rodziny, niegdyś inteligentny uczeń, posłuszne dziecko. Rodzina pokładała w nim duże nadzieje. Miał wyrosnąć, kosztem ofiar rodziny, na ważnego człowieka. Nie skończył szkół jednak, poszedł do pracy. Jako szlifierz w Zakładach Metalowych zbierał pochwały zwierzchników. Rzucił fabrykę, uciekł na Śląsk, do kopalni. Porzucił kopalnię, znów zawitał w rodzinne strony. Dorabiał trochę w lesie, dorywczo pracował na stacji. Kolejkarze sprowadzili go na manowce. Wódka, nocne włóczęgi, potem panie lżejszych obyczajów, zatargi z ojcem, małżeństwo, rozwód, zdeprawowały go ostatecznie. W końcu funkcjonariusze ulitowali się nad jego dolą, wzięli go pod opiekę. Wzięli prosto z plaży, w kąpielowych spodenkach i koszulce. Znalazł cichą przystań za kratkami. Z aktu oskarżenia wynika, że razem z kumplami ukradł nie mniej niż za sto tysięcy złotych. Ostatecznego rachunku dokona sąd. Największą radość mu sprawiła kradzież sześciu beczek wina.

Bez obawy o przesadę, śmiało można powiedzieć, że alkohol odgrywał dominującą rolę w przestępczym gangu. Cementował ich w kolektyw, zagrzewał do czynów, rozbrajał moralnie, ubarwiał szare życie. Pierwsze przestępstwa odbywały się niemal zawsze pod wpływem wódki. Zbigniew Dąbrowski, uczeń Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy Zakładach Odbudowniczych w Skarżysku, nawiasem mówiąc — utalentowany włamywacz, zwierzał się prokuratorowi: Siedzieliśmy na plaży, gdy podszedł do nas Wojtachnio. Obiecał wódkę. Dotąd nigdy nie piliśmy alkoholu, więc chcieliśmy spróbować. Napić się trochę. I wtedy wydarzyła się mi pierwsza kradzież. Poszliśmy do rejowskiego lasu; tam właśnie pod semaforem stał pociąg. Wojtachnio podbiegł, otworzył wagon i podawał nam skrzynki „buskowiarki”. Kazał ukryć w lesie. W ten sposób się zaczęło. Potem było więcej wódki i chęć zysku. Zostałem przestępcą.

Mieszkał u babci wieczniewanej, brzydził się odtąd nauką i pracą, wierzył w łatwy chleb i autorytety koleżeńskie paczki. Inny kawaler, Janusz Malik miał więcej doświadczenia nabytego już wcześniej. Znudzony ośiadką niejedno powiedział, chociaż w pierwszych dniach zbyt obcesowo zbywał ciekawość śledczych: Ja zajmowałem się tylko hodowlą gołąbków i o żadnych włamaniach nie wiem. Nie znam Kryczmanika, Wojtachnia, Bugały, Węgierka. Czasem chodziłem do kina. Pieniądze dawał mi rodzice. Po co wytatlowałem sobie pod okiem i na grdyce kropki, nie wiem. Co te kropki oznaczają, też nie wiem. Dlaczego wytatlowałem sobie na lewej ręce napis „Lepiej umrzeć niż się schaćbić” — nie wiem. Żyli sobie podcinałem dlatego, że bili mnie w zakładzie karnym. Wyrok dostałem za pobicie Biskupa.

Potem dopiero coś niecoś zaczął sobie przypominać. I tak

jakoś w ciągu tych lat uzbierało się na jego koncie skradzionych towarów wartości przynajmniej 166 tysięcy złotych. Tyle wyliczył mu prokurator. Janinie Rybickiej ułatwił zakup kilku krzesła pochodzących z kradzieży, a więc i paserstwo było mu nieobce. A jego kumpłowi, niemrawemu Koperkowi naliczyli włamań na sumę ćwierć miliona złotych. Kopererek błysnął.

Kradli na oczach mieszkańców Rejowa. Kradli w nocy i w dzień, o świetle i o zmierzchu. Nikt nie protestował. Pytanie aż świdruje: gdzie byli funkcjonariusze z tej dzielnicy? Co robiły organizacje polityczne, związki młodzieżowe, istniejące przecież w tym środowisku? Gdzie byli kolejjarze zamieszkali w Rejowie? Zmowa milczenia. Przepraszam, był wyjątek. Prywatną wojnę złodziejom wydała gospodyni domowa Irena Gajewska, uważana nawet przez milicjantów za babę stukniętą. Ona to od kilku lat interweniowała najpierw w milicji w Skarżysku, a gdy to dawało mierne rezultaty, walczyła w pojedynkę o sprawiedliwość na wyższym szczeblu. Nawet do generalnej prokuratury pisała: proszę o niepowiadamianie milicji w Skarżysku, ponieważ niektórzy z nich doniosą swojemu koledze, który jest w zмовie z przestępcami.

Odwiedziłem tego odważnego człowieka, co ratował honor Rejowa. Jej należał się order. Nie uległa się anonimów i ośmiartych pogroźek. O to, że jej interwencje przez kilka lat nie były skuteczne, trzeba winić kogo innego. W sąsiedztwie meliny mieszkała też inna kobieta, robotnica Zawada. Swego czasu została poturbowana nocą przez nieznanego osobników za wtarcanie się w „nie swoje sprawy”. Leżała przez wiele dni w szpitalu. Skarżyła się kiedyś w liście do prokuratury, że grożą jej rzuceniem pod pociąg w taki sposób, aby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek: „Czekaj k...”, jak sprawa się skończy, to my cię skończymy. Nie będziesz donosiła milicji”. Ludzie się bali.

Irena Gajewska mieszka w starym drewnianym przycupniętym ku ziemi. Za miedzą imponujący rozmiarami, piętrowy dom bogatej rodziny, ogrodzony, obejście zagospodarowane. To własność Mirosława Błasika, prywatnego właściciela zakładu ślusarskiego, ziemi i innych materialnych wartości. Pan Mirosław jest, jakby tu powiedzieć, hm! bliskim znajomym Zygmunta, no, właśnie — Kryczmanika. Miał z jego przestępczą grupą, jakby tu rzec, dość dziwne konszachty. Siedział nawet ostatnio przez kilka miesięcy w areszcie, niedawno wrócił z ciupy. Czekają na proces. Lubił otaczać się młodymi z grupy Kryczmanika, pili z nimi w melinie Rybickiej, w „Kosmosie”. Zaciekle wróg swej kuzynki Gajewskiej. To dziwne, że wielu znajomych i przyjaciół Kryczmanika tak szybko dorabiało się w życiu. No, bo i Leon Wiewiórkowski, właściciel zakładu metalowego

bogato sobie żyje. I Józef Owczarek, właściciel domu z ogrodem, dwóch samochodów, tudzież kiosku z warzywami, narzekać na ubóstwo nie może. I Edward Drózd, już nie kierownik sklepu z artykułami gospodarstwa domowego, majątny gość, chyba nie stracił na znajomości z Kryczmanikiem. Stracił natomiast Kania. Znalaziono go na torach nieżywego, opodał meliny.

Jak to właściwie było z tą śmiercią Zbigniewa Kania? Różne krążą pogłoski, od kilkunastu miesięcy. Od tego dnia przed Wigilią Bożego Narodzenia, kiedy znaleziono go na torach z obciętymi palcami u ręki, poszarpaną nogą i dziurą w głowie. Dziwne. Gdyby pociąg uderzył w idącego, z koszykiem trzeba byłoby chodzić wzdłuż torowiska aby, denata pozbić. Musiał już wcześniej leżeć na torach — zgadują niektórzy.

Irena Gajewska, prywatny detektyw, niewiele może na ów temat powiedzieć. Po prostu nie była naocznym świadkiem. Wiadomość ma z drugich ust, od niejakiego Grygiela, maszynisty kolejowego, który akurat tego wieczoru wracał z „Kosmosu”, gdzie wypiszy co nieco, szedł do swego kumpla Chamery. Widział ponoć dwóch mężczyzn, którzy wlekli czy nieśli trzeciego w stronę torów. Szarpali się? Nie, raczej ten trzeci był nieruchomy. Gdy wracał od Chamery do swego domu, milicja kolejowa już była na miejscu, teren był silnie oświetlony, ruch, gapię, rwetes. Chłopa zabił pociąg! Grygiel ponoć podszedł do milicjanta, chciał zeznać jako świadek, to co widział wcześniej. Ale tamten krzyknął: odejdz pan, czuć was wódkę! Więc Grygiel poszedł do swego domu, po drodze wstąpił do Woźniaków, aby stamtąd zatelefonować do komendy miejskiej. Chciał, poskarżyć się na milicję kolejową, opowiedzieć tamto zdarzenie. Woźniakowa nie wpuszcza Grygiela do środka, tylko go przez drzwi wysłuchała i obiecała w jego imieniu zadzwonić na komendę. Było to chyba już przed północą.

— Byłam wtedy u Woźniaków, to moi krewni — opowiada Gajewska. — Piekliśmy ciasto na święta. Ten kolejarz wyraźnie powiedział, że człowieka zabitego nieśli pod pociąg. Opisał ten wypadek dokładnie. Rano poszłam do matki zabitego i wszystko opowiedziałam. Napisałam jej nawet na karteczce.

Potem dodaje:

— Ludzie nie powiedzą, boją się. Grożą zabiciem. A może temu i owemu łapę posmarowali, żeby nie gadał za dużo...

Poszedłem do Woźniaków. Wysoki dom, zakład betoniarzski; na dorobku. Nauczycielka Aldona przypomniała sobie szczegóły dość słabo. Unika rozmowy. W końcu decyduje się:

— Istotnie, dzwoniłam wtedy. Spisano dane. Wezwali dopiero po kilku tygodniach, na milicję kolejową.

Teściowa, właścicielka zakładu betoniarzkiego:

— Ciekawe, dlaczego zaraz milicja nie przyjechała do nas, nie pytała o nazwisko informatora. Teraz późno.

Rzeczywiście — późno. Minęło przecież od tego czasu półtora roku. Daniela, siostra zabitego krzyczy wokół, że nie daruje. Napisze nawet do generalnej prokuratury. Udałem się więc do niej, aby wysłuchać pretenzji. Sobański, mąż Daniela jest właścicielem zakładu metalowego. Kania u niego pracował. Ludzie są ostrożni, bardzo mgliście o tym mówią. Tylko Daniela krzyczy. Anonimy nawet dostawała: zapowiadamy ci, stara kurwo, albo chodź z milicją, bo tak ci mordę zbijemy i to na pewno na Rejowie, że do domu nie trafisz. (...) Znajdą się tacy, co cię uziemią." Ale Daniela nadal krzyczy: jednego miałam brata, jedynego, pomszczę go, złodzieje!

— Skąd pani wie na pewno, że zabili?

— Szymek, świadek z bandy wygadał się przede mną.

— Szymek w ciupie!

— Tam nic nie powie, boi się! Z opowieści Daniela, uzupełnionej innymi doniesieniami:

Obrabowali wagon, dziesiątki pizam do podziału. Byli wszyscy główni członkowie szajki w melinie u Rybickiej, na rozrachunek i popijawę. To była już noc, raczej późny wieczór. Kania miał straszyć, że synnie, jak nie dadzą mu swojej doli sprawiedliwie. Szamotali się nawet, na dwór wychodzili. Adolf Sala też tam był. Sala jest kolegą Kryczmanika. Dwóch ponoć wychodziło na dwór, później wrócili bez Kani. Fakt, że Kania był pijany. Wszyscy byli pijani. Fakt, że jakiś pociąg stał na torze. Może penetrowali jego wnętrze? Ta wersja również nie może być wykluczona.

— Poszłam na drugi dzień na kolejową milicję, obiecuję im: jak wykryjecie morderców to wam w nagrodę przekażę takie wiadomości o bandzie, że wszyscy orderzy dostaniecie — mówi Sobańska.

— No i co, pociągali za język?

— Gdzie tam! Rzekli: idźcie, kobiecino do domciu...

No tak, wówczas milicja przyjęła inną wersję śmierci, a mianowicie: zginął pod kołami nadjeżdżającego pociągu. Obecnie milicja z Kielc sprawdza wersję Daniela. Jaki będzie ostateczny werdykt, trudno zgadnąć. Drugi ze świadków, inny kolejarz, już nie żyje. Zaś Grygiel przyjął mnie nieufnie. Nawet posprzeczał mi się, bo w żywe oczy zaczął kręcić: nie widziałem! Jak wracałem od Chamery to pociąg już stał, milicji było dużo. Ja do niego: — panie kochany, to czemu pan od Woźniaków chciał dzwonić, milicję zawiadamiać, skoro ona już była na miejscu? A Grygiel nie speszony: eh, tam! Nie na komendę chciałem dzwonić, lecz do elektrowozowni. Zapytać chciałem o której jutro na służbę.

Tak, Grygiel w wyraźny sposób ucieka od dawania świadectwa. Także Adolf Sala uni-
ka tematu:

— Owszem, byłem wtedy u Rybickiej. Wypiwszy trochę, zasnąłem przy stole, nic nie widziałem.

Kaniowa, mieszkanka baraków na Skalce, broni zmarłego:

— Zbysiu był pijakiem, ale porządny. Trzymał z bandą, ale nie kradł. Tylko wciąż pił. Po śmierci męża wszystko na niego zwalają.

— Wpadł pod pociąg po pijanemu?

— W nocy przyszli do mnie Koleczyk i Kryczmanik. Powiedzieli krótko: waszego pociąg przejechał. I poszli.

Potem zastanawia się chwilę, zanim się rozplacze:

— Gdyby kradł, to bym w luksusach chodziła. Tyle lat mieszkam w barakach!

Sierpień pali, dzielnica leży nad wodą. Domostwa kryją się w cieniu drzew. Młode jabłka w sadach, krwawią czupryny starym wiśniom. W kawiarni klubu wioślarskiego półnogie dziewczątka chrupią herbatniczki, gotowaci sięgają po kufle. Znajomy milicjant robi do mnie oko. W kadrze szerokiego okna, za wodą stoi pociąg, dyszy na torowisku. Czekają. Nikt go dziś nie obrobi. Band w mamrze.

Eh, nie wszyscy. Trochę ich na wolności zostało. Pracownik prokuratury: grube ryby wypadły narz z sieci, płotki zostały. Mieszkaniec Rejowa: przecież nie zamkną pół dzielnicę. Prokurator: na razie 24 osoby, reszta w następnym procesiku.

Tyle bagna w pięknym Rejowie. Pod lupą śledczych roi się robactwo zaułków. Ot, zgwałcili dziewczuchę na prywatce, we czterech. A może nie zgwałcili, sama do tego dążyła. Nie podali do sądu. Trzech uciekło, czwartemu mówią: żeń się! Małżeństwo z musu. Dwoje warczących na siebie ludzi. On szuka szczęścia u prostytutce, ona lgnie do pijaków. Tamten w końcu złodziejem zostaje. Rozkład. Albo taka, nazwijmy ją Owadzik. Mąż na długich delegacjach, starszy jegomość, młódka hula w lokalach. Wciągnęła w bagienko głupiego. Albo: syn pije, synowa więcej; Gdy synek w melinie, tatuś rzuci synową na otomanke, grają sprężyny pod ich ciężarem. I ambaras niemały: kto skrobanke funduje? W ruch idą siekiery, noże. Albo: on był partyzant, legendarny dowódca oddziału, odznaczony za dzielność nawet przez państwo ościenne. Dziś złodziej, paser. Alkohol go ześwinił. Albo: on społecznik, radny, sekretarz partyjny, to było dawniej. Poszedł na dno, wódka winna! Po melinach pijał, z szajką trzymał. Albo: mąż oszust, awantur-
nik, torturuje żonę, dusi, wali pięścią w twarz. Ona doskakuje z nożem, widelcem, wrzątkiem z czajnika. Przed funkcjonariuszem — słodkie małżeństwo. Chroni mężusia przed wspaną. Albo: gość dostał w zęby w melinie, rozkwasili mu nos. Eh, co tam będą ich po sądach ciągać. Zeznaje fałszywie. Albo: młody rolnik pożyczal złodziejom furmanke, aby mogli prze-

wozić łup. Dali zarobić, w porządku, reszta — milicji sprawa. Prokurator stwierdza: większość mieszkańców Rejowa korzysta z usług szajki. Sprawców milczeniem ukrywali. Kilkuś świadków, duży procent z nich — na ławę oskarżonych można posłać. Większość z nich przyzna się sama, skorzysta z amnestii.

— I nadal swoje będą robić?

— My też! — mówi prokurator.

Upał sierpniowy. Dzielnica dyszy nad brzegiem zalewu. Rojowisko ciał na plaży. Ilu z nich patrzy tęskno na stojący pociąg? Na ulicy Słonecznej spotykam prywatnego detektywa.

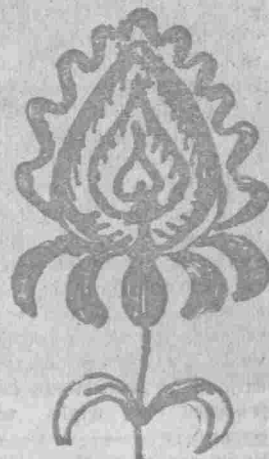
— Pani Gajewska, Szymka wypuścili!

Prywatny detektyw żegna się nabożnie:

— Wypuścili? Przyjeżdż pan na mój pogrzeb...

OLAF LEŚNY

konfrontacje regionalne



Hasło „żniwa”

Wiesław Barański

Pracując od paru ładnych lat w miesięczniku nabrałem pewnej umiejętności postrzegania przemijania czasu.... Oto gdy weźmiecie do rąk ten numer „Przemian”, nawet tak opóźnione żniwa będą nie tylko zakończone lecz wręcz „podsumowane”. Tymczasem jednak, kiedy stoimy na rozmięklej glinie baćkowskiej drogi, (lało całą noc i zaraz znów będzie padać) nie ma ważniejszej rzeczy dla tutejszych gospodarzy jak właśnie żniwa. Będą trudne, i tu i w całym kraju. Pagórkowata okolica pokryta urodzajem — ale jak po to ziarno sięgnąć? Wszystko się topi w tłustej, lessowej ziemi...

W gabinecie sekretarza KP, Stanisława Majchrowskiego taki sam krajobraz: fotografia na pół ściany przypomina, że jesteśmy w powiecie rolniczym dostarczającym — jak wyliczył Edward Bystrzoń, sekretarz rolny KP — 1/5 zboża i 1/7 mleka całego województwa, nazywanego „zagłębem buraczanym”, konkurującym pomyślnie z innymi rolniczymi potentatami: Sandomierzem i Kazimierzem Wielką. Tegoroczne deszczowe lato wyjątkowo pokrzyżowało im szlaki. Opóźnione żniwa to także opóźnione poplony, z niektórych trzeba było w ogóle zrezygnować, co ich jednak nie zasmaliło. Prawdziwy rolnik musi mieć trochę pokory wobec płatającej figle natury, nie udały się poplony jare, trzeba zwiększyć ozime. Trzeba myśleć, szybko myśleć i jeszcze szybciej działać. Na przykład dużo się mówiło o potrzebie wczesnych sianokosów, ci co położyli trawę przed początkiem czerwca, zbiorą w tym roku aż trzy pokosy. Trzeba umieć podporządkować sobie wybryki natury, kłeskę obrócić w sukces. Tego właśnie chce nauczyć rol-

ników sekretarz Bystrzoń, chociaż faktycznie nie ma w tym roku łatwego życia.

Powiat opatowski cieszy oko rasowego rolnika dobrą, tłustą i ciepłą ziemią (choć pod Ożarowem są piachy, a okolice Lago-wa — zimne, o kamiennej glebie), można tu się pobawić z kukurydzą, której wychodzi z hektara bez specjalnego cudownia i 50 kwintali nawet (na stacji doświadczalnej otrzymali 90 kwintali z ha). Czy zna kto tańszą, bardziej bogatą w białko i witaminę paszę? Ale kukurydza potrzebuje słońca, którego w tym roku jak na lekarstwo.

Więc poplony letnie uciekły im w tym roku, rozmyły się w deszczu nadzieje na poprawę bilansu paszowego, co ich mocno dotknęło na ambicji, ponieważ uważają, że nie sztuka rozwijać pogłowie na paszach kupowanych od państwa, ale żywić bydło własnym sposobem, z własnej ziemi.

Żniwa, gdy przyjdzie na nie pora, nie są im straszne, powiat ma niezłą bazę maszynową, samych kombajnów, gdyby je tak zebrać razem od kółek

1 PGR, będzie ze 25 sztuk, przy czym potężne „bizony” uporażą się z plonem na polach państwowych, zaś „vistule” stoją do usług rolników indywidualnych.

Sekretarz Bystrzów podpatrzył u sąsiadów, po drugiej stronie Wisły, ciekawy pomysł: powiatowy bank części zamiennych do maszyn rolniczych. W każdym powiecie — twierdzi — takich części zapasowych do maszyn, różnego typu i modelu jest straszna siła, tyle tylko, że nikt naprawdę nie wie, ile czego i u kogo. Części bowiem są chomikowane przez wszystkich: przez GS, POM, MBM, PGR. Przed żniwami ludzie się zmobilizowali, zrobili coś w rodzaju inwentaryzacji, oczywiście każdy u siebie, rezultat przeszedł oczekiwania: Państwowy Ośrodek Maszynowy w Jacentowie, faktyczny koordynator zaplecza technicznego powiatu w okresie akcji żniwnej, wie i każdemu będącemu w potrzebie zdradzi, gdzie u kogo można w powiecie otrzymać brakujące łożysko, tryb, czy co tam jeszcze. W wielu wypadkach ograniczy — ten opatowski bank części — ilość pilnych wyjazdów „w Polskę” po przysłowiowe śrubki i nakrętki.

Mimo stosunkowo dużej liczby kombajnów, nie ma mowy o pełnej mechanizacji zbiorów. Z 48,7 tys. ha powierzchni przeznaczanej w powiecie pod zasiewy, mechanicznie da się uprzętnąć zboże zaledwie z 25 tys. ha.

— Resztę sierpem i kosą? — pytam całkiem serio moich rozmówców.

— Ależ nie — woła sekretarz Bystrzów, spozierając na mnie podejrzliwie (kpi czy o drogę pyta) — resztę żniwiarkami konnymi. Kto tam u nas by się z sierpem bawił. Przydałaby się nam wymiana starszych typów kombajnów na nowe. Niektóre „vistule” mają już za sobą 3—4 kapitalne remonty.

Z innymi maszynami jest znacznie lepiej, ale niestety nie wszędzie. Po prostu te kółka rolnicze, które nastawiły się na produkcję rolną, na usługi rolnicze, są nieźle zaopatrzone w maszyny potrzebne rolnikom, ale niestety są i takie kółka, których głównym celem był szybki pieniądź uzyskiwany ze zmian za usługi transportowe. Na wsi ciągle trzeba coś wozić, więc się wozilo, za cały zestaw do ciągników wystarczyło kilka przyczep. Teraz to się mści.

Mszą się także srogo na powiecie opatowskim inne zaniedbania, a szczególnie niedoróbki inwestycyjne. Naprawdę strach patrzeć na nowe zabudowania gospodarcze wzniesione dosłownie kilka lat temu. Oczywiście obory na przykład są nowe tzn. zbudowane z pustaków; mają okna, dachy z eternitu, ale są to budynki przestarzałe, niefunkcjonalne, nie ułatwiające rolnikowi życia. Czy naprawdę tak trudno je fachowo zaprojektować? Od lat na przykład wiadomo, że z inicjatywy dziennikarzy z redakcji „Chłop-

skiej Drogi” trwa konkurs „Złotej Wiechy”. Uczestniczą w tym konkursie rolnicy, którzy sami projektują własne budynki gospodarcze, w oparciu o własne pomysły i doświadczenia. Ostatecznie jest to idea piękna, działająca na wyobraźnię rolników, ale na samą myśl, że autor niniejszych rozważań mógłby zaprojektować gmach redakcji albo drukarni, włosy się jeżą na głowie.

Czy rzeczywiście musimy się bawić w manufakturę w tak ważnej, jak właśnie rolnictwo, dziedzinie gospodarki narodowej? Rozumiem, że do gotowego pomysłu czy projektu przyszły użytkownik może wnieść swoje uwagi, ale przecież nie godzimy się na to, by doskonały kierowca budował na własną rękę samochód (podziwiamy jedynie zapalonych hobbystów

łancu specjalizujący się w budownictwie rolniczym spróbowali popatrzeć z bliska na pracę rolnika, żeby im ktoś wytłumaczył zasadę działania taśmociągu do zadawania paszy, elewatora do przechowywania paszy, mieszałnika itp.

Rozumiem, że są to gorzkie słowa prawdy, ale należało je chyba wypowiedzieć, ponieważ dzisiejsi rolnicy bardzo różnią się od rolników wczorajszych. Dzisiejsi rolnicy zdają sobie sprawę z potrzeby intensyfikacji produkcji rolnej, widzą w tym nie tylko patriotyczne powołanie, lecz także zarobek i wyższy standard życia na wsi. Oczywiście, dzisiejszej wsi, wcale nie przeludnionej, pozabawionej Janków-muzykantów, studiujących dyrygenturę na WSM; ich miejsce zajmują elektryczne pastuchy, ludziom

Jeszcze gorzej wygląda problem mlecznej rzeki, która jak na złość ciągle w Opatowskim przybiera. Krowy jak by chciały na złość zrobić (komu), dają mleka coraz więcej, te z PGR ponad 3.500 litrów, a indywidualne rekordzistki do 7 tys. litrów. Co z tym zrobić?

Oczywiście program rozbudowy zaplecza rolniczego mają w Opatowie, ale program swoje, a życie swoje. Wszystkiego naraz zbudować się nie da, zresztą nie ma takiej konieczności. Konieczna jest natomiast konsekwencja w realizacji poszczególnych etapów rozwoju powiatu, z czego — jak się przekonałem — gospodarze powiatu zdają sobie doskonale sprawę. Być może istotnie pewne rzeczy się prześpało w poprzednich latach, w pogoni za industrializacją powiatu, zanim się czarno na białym nie pokazało, że najpewniejszą bazą rozwoju gospodarczego było tu, jest i zapewne będzie — rolnictwo.

Powstają więc na bazach filii ośrodków maszynowych SKR nowoczesne, odpowiednio wywianowane i już specjalizujące się w konkretnych usługach dla rolników. W Baćkowicach zajmują się kombajnami, które tu właśnie przechodzą kurację odmładzającą, mają tu znakomitą kadrę traktorzystów oraz monterów, a także — co się liczy — własną grupę budowlaną, która już jest w stanie zlagodzić ostry deficyt wykonawstwa budowlanego (chociażby na własny użytek), podobnie, przeźnie działające Spółdzielnie Kółek Rolniczych powstały w Stodołach i Wyszmontowie. Tutejsze SKR mają ambicje większe niż drzewiej się marzyło, nawet, zwłaszcza w zakresie usług proponowanych rolnikom: już nie tylko z wagonu dostarczyć do zagrody nawozy, ale je także rozsiać w porę na polu, nie tylko wypożyczyć maszynę, lecz także zadbać, by była ona w należytych stanie technicznym.

Do powiatu dotarła także wymarzona industrializacja: w Ożarowie, na jedynym nieurodzajnym, piaszczystym skrawku ziemi, kosztem 6,5 miliarda złotych powstaje gigantyczna cementownia. Ci, którym na wsi ciasno, pójdą do wielkomiejskich bloków, będą mieli czystą pracę. Tak — nie jest to szczęśliwe określenie, może w tym przypadku chodzi raczej o miejską pracę. Czy się zdecydują? Zobaczymy, wkrótce w Ożarowie praca ruszy pełną parą — co obiecuje wrośnięty tu na dobre (i złe) dyrektor inż. Marcin Chechelski, specjalista od portlandzkiego cementu, już nasz, własny, kielecki, tu wychowany i obdarzony ostrogami cementiarz. Modernizuje się ćmielowska porcelana (co jednak nie ma wpływu na normalny tok produkcji) i fabryka maszyn rolniczych w Kunowie.

Wkrótce przyjdzie więc czas na żniwa przemysłowe, ale teraz najważniejsze są te tradycyjne, odwieczne, prapolskie. Oby się tradycyjnie udały...

WIESŁAW BARAŃSKI



fol. A. Pęcański

budujących przez całe życie swój samochód lub maszynę latającą, nie po to zresztą, by z niej później mieć jakiś praktyczny użytek, zwykle okazuje się to niemożliwe).

Tymczasem to, co było budowane (nie tylko przecież w powiecie opatowskim, chociaż tu najpierw się połapano), co się buduje obecnie, nie odpowiada wymogom chwili i wręcz uraga zdrowemu rozsądkowi. Sekretarz Majchrowski opowiada o oborze, w której dla potrzeb gospodarczych projektant przewidział zainstalowanie silnika elektrycznego, znajdując dla tego silnika miejsce poniżej poziomu podłogi — nieczystości zalewają instalację. Rozgoryczony właściciel obory postuluje teraz, nie bez racji, by projek-

szkoda czasu, traconego na ciężką pracę, która może być i łatwiejsza i bardziej efektywna.

Powiat jest wyraźnie nie doinwestowany, co odbija się na kosztach produkcji. Jeżeli dla przykładu kupuje się tu od rolników 20 tys. ton zboża, a tujejsze magazyny mogą pomieścić jedynie 6 tys. ton — to wniosek wyłania się prosty: resztę trzeba gdzieś zawieźć, by ziarno nie zmarnowało się. Więc wozą się to kilometrami do elewatorów w sąsiednich powiatach, które wprawdzie nie mają ziarna, ale mają elewatory. Podobnie rzecz się ma z burakami cukrowymi: cukrownie w Częstocicach i Włostowie nie są w stanie wchłonąć ani połowy plonów — trzeba wozić dalej, a z powrotem powietrze.



tot. archiwum

Kto bliżej zna Stalową Wolę i Starachowice, łatwo uchwyci pobratymstwo. Powstały u schyłku dwudziestolecia międzywojennego w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego, nad dużymi rzekami, Sanem i Kamienną zanieczyszczonymi obecnie w równym stopniu, na piachach, w gąszczu sosnowym, bazują na potężnych zakładach przemysłowych, w Stalowej Woli na hucie, w Starachowicach na Fabryce Samochodów Ciężarowych i jej satelitach, Zakładach Przemysłu Drzewnego i Zakładach Topienia Bazaltu. Z tym jednak, że Starachowice są znacznie większe i o wiele, wiele ciekawsze, dzięki interesującemu ukształtowaniu terenu oraz dużo większemu rozmachowi i śmielszym koncepcjom urbanistycznym, co zresztą wcale nie znaczy, że w przeszłości nie ustrzeżono się potknięć, które przybyszowi muszą rzucić się w oczy. Ale o tym za chwilę.

Starsi doskonale pamiętają Starachowice lat czterdziestych, kociołby na „wierzbińskim” rynku i przy ul. Marszałkowskiej, cuchnące odkryte rynsztoki, prymitywne budowle, które na szczęście uległy rozbiórce. Dynamiczny rozwój miasta datuje się od momentu przeistoczenia dawnych zakładów zbrojeniowych w potężnego na skalę europejską giganta samochodowego. Jakże były i są następstwa tej decyzji, tłumaczyć kolejno raz chyba się nie powinno. Wystarczy przypomnieć, że już w Polsce Ludowej liczba mieszkańców wzrosła trzykrotnie (do 45 tysięcy). Starachowice wszakże ucierniały na chorobie wspólną ośrodkom o podobnej strukturze, pod każdą szerokością geograficzną. Na początku brakowało jasno sprecyzowanej przyszłościowej wizji miasta i stał widoczny po dziś dzień efekty pod postacią różnych sąsiadujących przez siebie form zabudowy przestrzennej, w oderwaniu od całości. Za przy-

portrety miast

Starachowickie wiązania

Henryk Kawiorski

kład mogą posłużyć osiedla mieszkalne Wierzbnik i Majówka skonstruowane każde sobie w szczerym polu z minizespołami handlowymi i usługowymi, albo też nie przemysłane, przypadkowe, jakby na przekór naturalnym walorom geologicznym rozrzucenie domków jednorodzinnych w sercu miasta, przy ul. Dr Anki i Radomskiej, gdzie aż proszą się wysokościorce. Autentyczni przyjaciele miasta, a ci liczą się na dziesiątki, bez fałszywego skrepowania mówią o negatywach, słusznie wychodząc z założenia, że błędy trzeba widzieć, aby je naprawić lub przynajmniej zaretuszować, tym bardziej, że mimo swej 35-letniej historii, Starachowice w istocie rzeczy są miastem przyszłości. Mówią o nim z miłością jak o swoim dziecku, jak choćby zastępca naczelnika powiatu i miasta — Andrzej Nowak, który sam jest tego miasta dzieckiem, gdyż tu się wychował i tu pracuje.

Renesans zapoczątkował się w latach sześćdziesiątych. Nowo wzniesione osiedle Partyzantów wypełniło pustą przestrzeń do Majówki. Wierzb-

nik połączy się z resztą miasta poprzez zabudowanie Skarpy, gdzie intensywne prace potrwać do roku przyszłego. W ten sposób stworzy się jednolity zwarty kompleks obejmujący obszar 19 km kwadr., a więc dwa razy mniejszy niż szczuplejsze liczebnie Skarżysko.

Dzień dzisiejszy Starachowice upływa pod znakiem... wody! Aż do ubiegłego roku doprowadzano ją z Kamienną i używano do celów konsumpcyjnych, mimo że na przykład leżące powyżej Skarżysko nie posiada oczyszczalni ścieków. Koszt nowego ujęcia ze studni głębinowych wyniesie łącznie 140 mln zł, dużo i równocześnie niewiele, jeśli weźmie się pod uwagę, że już pod koniec tego roku dobra woda dopłynie do wszystkich bez wyjątku kranów. Tym doniosłym akcentem Starachowice po swojemu upamiętniły jubileusz XXX-lecia PRL.

W umysłach i częściowo w dokumentach istnieje wizja miasta roku dwutysięcznego. Będzie się ją wcielać w życie etapami:

OTO PIERWSZY: Na osiedlu, Wzgórze, którego inwestorem jest FSC, powstają jedenasto-

kondygnacyjne „wielkomiejskie” wieżowce.

OTO DRUGI: Władze powiatu i miasta ogłoszą wkrótce za pośrednictwem Stowarzyszenia Architektów Polskich konkurs na urbanistyczne rozwiązanie centrum wzdłuż głównej arterii komunikacyjnej — ale! Manifestu Lipcowego i przedłużającej aleję, ul. Słonecznej, gdyż w dalszym ciągu centrum przez duże „C” nie zostało dopracowane. Chodzić będzie o wkomponowanie ośmiokondygnacyjnego hotelu na 300 miejsc z restauracją i kawiarnią, dużych domów towarowych, biurowców i bloków mieszkalnych, nowego gmachu dla władz administracyjnych powiatu i miasta, kina, teatru itd.

OTO TRZECI: Opracowuje się dokumentację na budowę dzielnicy Skalka na 10 tysięcy mieszkańców, planuje się dalsze, Wierzbnik II i Łazy, obie od strony Ostrowca.

OTO CZWARTY: W przyszłym roku rusza budowa największych w województwie zakładów przemysłu mięsnego, mających docelowo zatrudnić 2 tys. osób, w związku z czym przybędzie nowy inwestor i godny partner.

OTO PIĄTY: Każdy metr kwadratowy powierzchni uzyskał swoje konkretne przeznaczenie. Od dobrych paru lat nie ma wypadku dzikiej lub choćby niedokładnie przeanalizowanej budowy wiasnościowej. Domki jednorodzinne lokalizuje się w kilku rejonach, w dzielnicach Orłowo, Stare Miasto, Las, Wierzbowa, Starachowice — Południe.

OTO SZÓSTY: Wreszcie ureguje się kapryśną Kamienną, która tworzy rozlewiska i bagna, zaadaptuje się ją do celów rekreacyjnych, ponadto zbuduje się halę sportową za 100 mln zł.

OTO SIÓDMY: Notuje się znaczny i narastający przypływ fachowców we wszystkich dziedzinach, dorastają nowe pokole-

nia. W 1990 r. Starachowice M-
czyć będą ponad 70 tysięcy lu-
dzi.

OTO ÓSMY i przynajmniej na
razie ostatni: Po zrealizowaniu
tych zamierzeń dla miasta za-
braknie terenu i trzeba będzie
rozszerzyć jego granice. Natu-
ralną koleją rzeczy przez molo-
cha wchłonięte zostaną wsie
podmiejskie Wąchock z zabytko-
wym klasztorem i Michałów,
potocznie określane mianem
„hotelu robotniczych”. I to już

właśnie będzie rok dwutysięcz-
ny.

Starachowice, każdy to przy-
zna, są bardzo atrakcyjne i pre-
zentują się malowniczo. Leżą na
zbożach wzniesienia staczające-
go się ku Kamiennie, w lesie.
Warto zaznaczyć, że te walory
wykorzystuje się sensownie i w
sposób znakomity, aby dodać
miastu urody i egzotyki. Olbrzy-
mi park wydzielono z kompleksu
leśnego, drzew nie wycina się
bez uzasadnionej konieczności

zachowując całe ich połącze,
znajdujące się w pobliżu alei
Manifestu Lipcowego odsłonięte
skały o ciekawych kształtach
wyeksponuje się w trakcie pro-
jektowania i realizowania cen-
trum. Również w tym względzie
widać rozsądną i przemyślaną
politykę gospodarzy i mieszkań-
ców.

Mówi zastępca naczelnika, An-
drzej Nowak:

— Osobiście uważam i nie
jestem w swoim osądzie odosob-

niony, że Starachowice mają
wszelkie warunki i szanse po-
temu, aby w niedalekiej przy-
szłości stać się jednym z naj-
piękniejszych i najatrakcyjniej-
szych miast województwa. Od
nas starachowiczów zależy, jak
szybko i w jakim stopniu przy-
pomocy Fabryki Samochodów
Ciężarowych i przedsiębiorstw
pomniejszych owe warunki i
szanse wykorzystamy...

HENRYK KAWIORSKI

listy



Mgła nad wielką budową

Długo czekaliśmy na list naczelnego dyrektora Przedsiębiorstwa Realizacji Inwestycji Przemysłu Cementowego, Wapienniczego i Gipsowego w Krakowie. Reportaż pt. „Mgła nad wielką budową” ukazał się w marcowym numerze naszego miesięcznika, w majowym numerze zamieściliśmy krytyczny list mgr Ryszarda Kmera, który poszerzył temat reportażu i wreszcie otrzymaliśmy wyjaśnienie od dyrektora naczelnego, inż. Jana Sowy. Oto wypowiedź z pewnymi, koniecznymi ze względów technicznych, skrótami.

„Artykuł Włodzimierza Stera i list mgr Ryszarda Kmera stworzyły mgłę nad budową Cementowni „Ożarów” niewłaściwie i błędnie informując społeczeństwo o „opóźnieniach” zaistniałych na budowie cementowni.

„Niezbędne jest zatem podanie faktów, które pozwolą na prawidłową ocenę budowy w.w. cementowni realizowanej w ramach PRIPCWIG w Krakowie.

* Wykonano prace geodezyjno-geologiczne dla podjęcia decyzji lokalizacyjnej w wysokości 18 mln zł.

* Zawarto wyjątkowo korzystny kontrakt z Danią na dostawę maszyn.

* Wykonano prace projektowo-zabezpieczające aktualne potrzeby budowy: do końca I kwartału 1974 r. wykonano i przekazano dokumentację umożliwiającą wykonanie robót budowlano-montażowych na łączną wartość 300 mln zł, do końca kwietnia br. wykonano i przekazano dokumentację na wartość robót budowlano-montażowych w wysokości 360 mln zł, aktualnie zaangażowanie zakładu do końca czerwca dokumentacji na wartość robót budowlano-montażowych w wysokości 600 mln zł.

* W dniu 20 lipca 1973 roku PRIPCWIG zawarło z Tarnobrzeskim Przedsiębiorstwem Budownictwa Przemysłowego porozumienie wstępne, którego integralną częścią jest harmonogram na wykonanie całego zadania inwestycyjnego.

* Protokołem z dnia 25 września 1973 roku przekazano teren pod zaplecze. W dniu 28 marca 1974 r. przekazano wykonawcy teren pod budowę zakładu.

* Przeprowadzono odpowiedni zakres prac dla dokonania wyłączeń, zawarto umowy z 380 rolnikami dla wcześniejszego przejęcia 212 ha terenu, gwarantując rolnikom wypłatę odszkodowań po załatwieniu prac formalno-prawnych.

* Do końca I kwartału 1974 r. wykonano roboty budowlano-montażowe na kwotę 17,8 mln zł.

„W świetle wyjaśnień i faktów — pisze dalej dyrektor Sowa — czytelnik może sobie zadać pytanie, o co właściwie chodziło ob. Zydkiowi i ob. mgr Kmerze? Ob. Zydka został przyjęty do ZRI Cementowni „Nowiny II” na stanowisko głównego specjalisty ds. Cementowni „Ożarów”. Po orzeczeniu go do Ożarowa i jednodniowej pracy w bezpośredniej rozmowie z dyrektorem PRIPCWIG zażądał powołania go na dyrektora budowy. W wypadku niepowołania go na to stanowisko zagroził dyrektorowi PRIPCWIG poważnymi konsekwencjami. Dyrektor oczywiście nie spełnił życzenia ob. Zydki — przede wszystkim ze względu na brak kwalifikacji zainteresowanego oraz z uwagi na opinię z poprzedniego miejsca pracy.

Wobec tego ob. Zydka zastosował system faktów dokonanych i „mianował się” dyrektorem używając również bezprawnie odpowiedniej pieczętki. W ślad za tym faktem rozpoczął działania sankcjonujące jego „powołanie”. W ramach tej akcji rozpoczęło się poszukiwanie zwolników. Z artykułu wynika, że nikłe są efekty i argumenty tych poszukiwań.

Co do wniosku mgr Kmera dotyczącego sprawdzenia faktu, czy przy powoływaniu na kierownicze stanowisko u inwestora nie popełniono pomyłki oraz czy nie należałoby domagać się wyciągnięcia konsekwencji wobec winnych za stan rzeczy w Cementowni „Ożarów” niech w tej sprawie wypowiedzą się odpowiednie władze zwierzchnie.

Otrzymałmy jeszcze jeden list (od Zjednoczenia Przemysłu Cementowego, Wapienniczego i Gipsowego z Krakowa), który publikujemy z niewielkimi skrótami. Zjednoczenie stara się w swojej notatce informacyjnej o obiektywizm, ale nie ustosunkowuje się do zarzutów, a szkoda?

„W ostatnim czasie ukazały się w nr 3/42 i nr 5/44 miesięcznika „Przemiany” dwa artykuły, których autorzy wypowiedzi swoje opinie na temat jednej z kluczowych inwestycji przemysłu cementowego — Cementowni „Ożarów”.

Byłoby oczywiście przesadą twierdzić, że tak szeroko zakrojona działalność inwestycyjna przebiega bez żadnych trudności. Proces inwestycyjny — od koncepcji projektowych, aż do uruchomienia nowego zakładu składa się z bardzo wie-

lu skomplikowanych zagadnień. Mówiąc o trudnościach mamy na myśli przede wszystkim fakt, że w Kielecczyźnie jest aktualnie realizowanych wiele ważnych budów, angażujących w maksymalnym stopniu jej potencjał wykonawczy. Po ukończeniu w roku bieżącym budowy Cementowni „Małogoszcz” nastąpi koncentracja na budowie Cementowni „Ożarów”.

Cementownia „Ożarów” będzie realizowana w cyklu 40 miesięcy z założonymi kilkumiesięcznym przyspieszeniem. Rozpoczęcie robót cyklowych nastąpiło zgodnie z planem od 1 kwietnia br.

Stosunkowo jeszcze niewielki potencjał wykonawczy skoncentrowany jest na obiektach zaplecza technicznego i socjalno-bytowego oraz uzbrojeniu terenu. W ramach zaplecza wznoszone są również budynki mieszkalne na osiedlu, które w okresie budowy wykorzystywane będą jako hotele robotnicze. Stan zatrudnienia w szczytowym okresie budowy, to jest w latach 1975-76 wyniesie 2500-3000 ludzi.

Poruszone w obu artykułach sprawy dotyczyły m.in. problemu nabycia terenu dla realizowanych inwestycji. Wprowadzając one atmosferę niepewności wśród właścicieli gruntów w czasie kiedy inwestor przygotowuje dokumentację prawną, stanowiącą podstawę nabycia terenu oraz wypłacenia należności z tytułu odszkodowań. Czynności te przedłużają się ze względu na stosunkowo częste braki tytułów własności poszczególnych użytkowników działek. Teren został częściowo przejęty pod budowę na podstawie dobrowolnie dokonanych uzgodnień z właścicielami nieruchomości, położonych głów-

nie w miejscowościach Karsy, Gliniany i Potok.

W końcowym stadium znajduje się przygotowanie dokumentacji prawnej tych terenów. Należność za grunty wraz z odszkodowaniami za zasiewy i nieruchomości gospodarcze wypłacona zostanie w czerwcu i lipcu br. Inne tereny będą przejmowane sukcesywnie w miarę przygotowania dokumentacji prawnej oraz ustatków tytułów własności.

W artykule Włodzimierza Stera znalazły się również dość wyraźne akcenty poddające w wątpliwość program i zakres obiektów towarzyszących osiedlu mieszkaniowemu. W tej kwestii autor artykułu mógł łatwo rozwiać swoje wątpliwości, zapoznając się po prostu z uzgodnieniami koordynacyjnymi w zakresie inwestycji wspólnych i towarzyszących, dokonanymi z władzami szczebla wojewódzkiego i powiatowego, bądź też zasięgnięciem informacji u inwestora. Droga „głosowia”, którą poszedł Włodzimierz Ster, jest niewątpliwie łatwiejsza... A przecież w ramach inwestycji zarówno cementowni jak i osiedla mieszkaniowego wybudowane będą — zgodnie z obowiązującymi normatywami — zaplecze usługowo-handlowe, przedszkole, żłobek, szkoła zawodowa, przychodnia lekarska i inne obiekty. Nowe osiedle zaprojektowano w całkowitym zintegrowaniu z osadą istniejącą, w wyniku czego Ożarów zmieni w sposób zasadniczy swoje oblicze.

Tak więc budowa jest wielka i trudna, ale postawione zadania i terminy realizacji są całkowicie realne.

Kraków, dnia 3 czerwca 1974 r.

JERZY LESZCZYŃSKI

FRASZKI

Podjeżdżany anioł

Czy to aby czasem
nie niebieski ptaszek?

Z dwójga

Lepszy diabeł wcielony —
niż anioł w duszonym.

Rada konkretna

Wrażenie pustki wewnętrznej
masz?

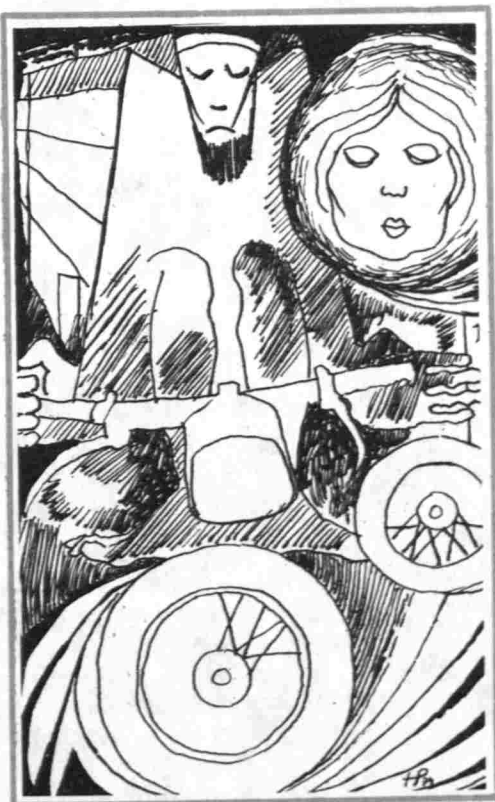
Wypchać się każ.

D...

Bardzo dobrze, że można
to słowo wykropkować —
jeszcze lepiej, że nie można
wykreślić tego słowa.

Spojrzenie turpisty

a zaczyna się z tobą na powierzchni
i można powiedzieć, że masz skórę
a zaczyna się z tobą na powierzchni
i można ci powiedzieć, że masz ciało
a dochodzi się z tobą w twoje mięso
i nie można powiedzieć żeś jest nie
a dochodzi się z tobą w twoje jątki
i nie można powiedzieć żeś jest nie



JANUSZ STĘPIEŃ

Wiejska kruczata

co dzień
wieźli Pannę Maryję
w purpurowym samochodzie
a Jezus był smutny

jechali za Panną Maryją
więcej aniołowie na
traktorach i rowerach
a ubrani byli w hełmy
a Jezus był smutny

szli za nimi ludzie
nieśli wstążki i pokorę
czas odmierzali krzyżem
mieli długą drogę
a Jezus był smutny

BOGDAN PASTERNAK

Bat

Noc stoi pod balkonem
Światła dalekim kluczem dzwonią
Dzień bez zapisu
Jak ucięty palec.

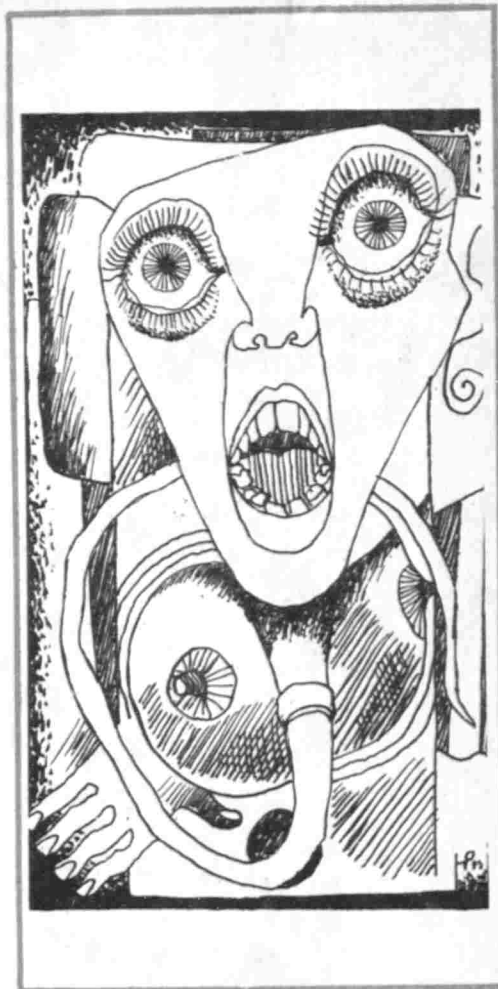
Gonią muchę po szybie
Aby ją złapać
Myśli zawrócić z biegu
Stracone szanse pójda spać
Kręci się kołowrotek
Złudzeniami wypłacam bat
Jutro będzie potrzebny.

BOGDAN BETZ

Porady

(Tych co mi dobrze życzą)

Bądź porządnym człowiekiem
nie Poetą
bo wiesz...
dostaniesz podwyżkę
widzisz jak tamten
musisz się skupić
może go złamiesz
siedź spokojnie
i
najlepiej zostań porządnym



STANISŁAW NYCZAJ

Nuda

Co robić
w tym monotonnym
miejskim pejzażu
na tej szachownicy
nocy i dni

My po jednej
wy po drugiej stronie
Losujemy kto czarny
a kto będzie biały
Zaczynamy od nowa
znaną dobrze partię

Czasy się zmieniły
więc zamiast hetmanów
grają bawidamki
miast pocziwych gońców
przebiegli kelnerzy

Pośrodku placu
pół litra wódki
Kielich o kielich
— szach
szach!

Nikt z nas
nie rusza się z miejsc
Do mata jeszcze daleko

NAMIOTY

WOJEWODZKIE
PRZEDSIĘBIORSTWO
HANDLU
ARTYKUŁAMI
PAPIERNICZYM I SPORTOWYM



Wzrastający z roku na rok rozwój turystyki wymaga coraz większej ilości i w odpowiednim asortymencie sprzętu turystycznego. Czy jest go jednak dziś pod dostatkiem? Gdzie można nabyć dobre namioty, śpiwory, materace pneumatyczne lub meble campingowe? Z tymi pytaniami zwróciłem się do dyr. WOJEWODZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA HANDLU ARTYKUŁAMI PAPIERNICZYM I SPORTOWYM w Kielcach – mgr ADAMA MORALSKIEGO.

– Wszystkie nasze sklepy branży sportowej prowadzą sprzedaż sprzętu turystycznego. Największym powodzeniem cieszą się namioty polskiej produkcji, które wędrują niemal po całym świecie. O ich renomie świadczyć może fakt, iż towarzyszyły one naszym alpinistom w Himalajach zdając w pełni egzamin w ciężkich warunkach wysokogórskich. Podobnie chwalili sobie te namioty, które mamy w sprzedaży – uczestnicy wyprawy kajakowej przez Cieśninę Magellana. Chroniły ich dobrze przed ulewnymi deszczami i porywistym wiatrem.

– Proszę o kilka fachowych wyjaśnień i odpowiedź, jakie typy namiotów do jakiej turystyki?

– Aby namiot spełnił swe zadanie ku zadowoleniu użytkowników, konieczne jest dobranie odpowiedniego modelu i typu namiotu do rodzaju uprawianej turystyki i posiadanego środka transportu. Namioty można podzielić na 3 zasadnicze grupy:

1. namioty służące wyłącznie do spania, bez możliwości wykonywania w nich czynności gospodarskich;
2. namioty większe umożliwiające poza wygodnym spaniem wykonywanie czynności gospodarskich pod dachem;
3. namioty typu willowego, posiadające odrębne sypialnie i pomieszczenia gospodarskie. Jest to typ namiotów dla posiadaczy samochodów.

Do grupy pierwszej namiotów, przeznaczonych raczej do spędzania w nich weekendów zaliczamy namioty: „motyl”, „krasnal”, „necko”, „beldan”, „gopło”, „wigry”, „mamry”, „bielik”, „elitra”. Są to namioty o wadze 6 do 15 kg, przeznaczone dla turystyki rowerowej, wodnej, motorowej i ewentualnie samochodowej. Szczególnie łatwe do rozstawiania są namioty „motyl” oraz „kras-

nal”. Są to namioty powłokowe (bez tropiku) najtańsze.

Pozostałe z wymienionych w tej grupie namiotów posiadają wnętrze z tkaniny nie impregnowanej (z wyjątkiem przodu wejścia). Z uwagi na posiadany tropik namioty te mogą być używane we wszystkich warunkach klimatycznych, zarówno w Polsce, jak i w krajach południowych Europy. Wymieniane typy namiotów posiadają absydę umożliwiającą przechowywanie bagażu i gwarantują wygodne spanie.

Do grupy drugiej zaliczamy namioty, które z uwagi na posiadany przedsionek umożliwiają wygodne spędzenie czasu, niezależnie od warunków atmosferycznych. Do grupy tej należą „wars”, „wawel”, „podhale”, „warta”. Np. ten ostatni posiada duży przedsionek umożliwiający wstawienie wyposażenia kuchennego oraz stolika, krzeseł w ilości odpowiadającej liczbie osób w namiocie. Typ „warta” posiada wagę i walory namiotów willowych, które umożliwiają swobodne wykonywanie czynności gospodarczych pod dachem oraz spędzenia czasu w namiocie.

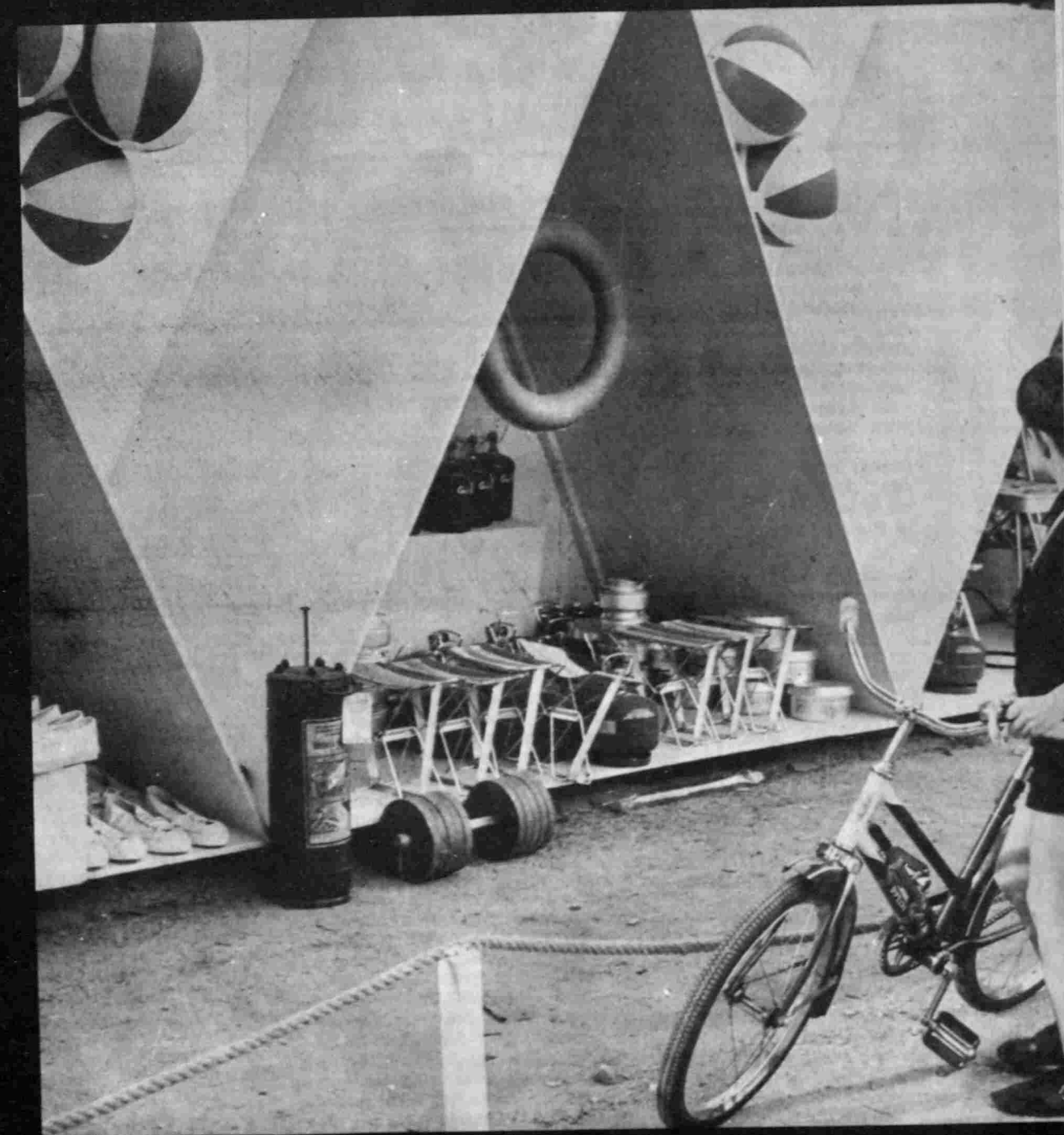
Chcąc wygodnie spędzić czas pod namiotem, o ile posiada się samochód, należałoby zdecydować się na zakup typu willowego. Do namiotów willowych zaliczamy: „hel”, „krakus”, „gdynia”, „sopot”, „baltyk”.

Namioty np. „sopot” produkowane są w wersjach 2-, 3-, 4- i 5-osobowych, przy czym wersja 2- i 3-osobowa posiada 1 sypialnię, a wersja 4- i 5-osobowa – 2 sypialnie. Posiadają one wydzieloną część gospodarską i dużą werandę, zaś „baltyk” są stosunkowo tanie, produkowane w wersji 4-osobowej. Posiadają jedną sypialnię oraz dużą część gospodarską. Namioty willowe nadają się raczej na dłuższy pobyt wypoczynkowy.

Poza namiotami prowadzimy też sprzedaż śpiworów, materaców pneumatycznych, mebli campingowych oraz różnych naczyń turystycznych, akcesoriów niezbędnych do namiotów i wszelkiego innego sprzętu zarówno turystycznego jak i sportowego.

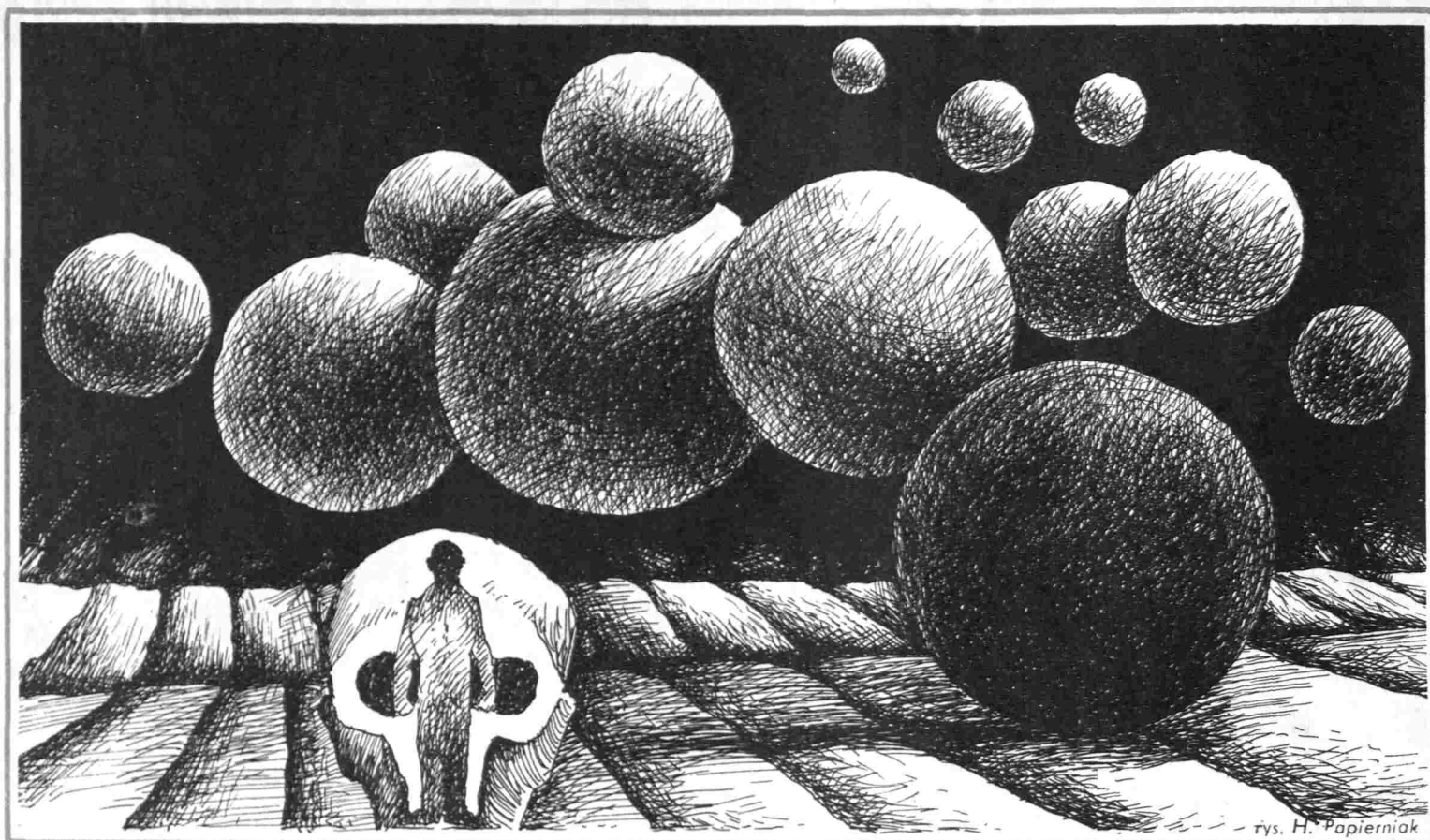
W br. nie mieliśmy zbyt ładnego lata, ale za to ma być podobno piękna jesień. Polska jesień. Warto więc już dziś zaopatrzyć się w sprzęt turystyczny w sklepach WOJEWODZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA HANDLU ARTYKUŁAMI PAPIERNICZYM I SPORTOWYM.

k/9



dobrze na wszystko





rys. H. Papierniak

Niewysoki, szczupły, zadbany, z wąsem na sztorc, z przedziałkiem pośrodku gęstych włosów — kto z ludzi związanych z kieleckim wymiarem sprawiedliwości nie zna sylwetki Jana Trzeciaka? — i kto z nich nie darzy go sympatią? Mało komu jednak wiadomo, że jest bez wątpienia najdawniejszym pracownikiem sądownictwa w naszym mieście, gdyż wstąpił do służby jeszcze za czasów carskich, licząc zaledwie 18 lat. Jak do tego doszło? Zwyczajnie, ale inaczej, niż dzieje się to obecnie. Warto więc to opisać.

Jan Trzeciak urodził się w Barwinku, w licznej rodzinie (5 braci, 3 siostry, ojciec, matka, babcia). Ojciec jego, Wojciech, był zatrudniony w zakładzie firmy „Przedsiębiorstwo Kopalni Marmurów” przy obecnej ulicy Ściegiennego, należącym podówczas do M. Kozłowicza i J. Filipkowskiego. Jako polerownik marmuru zarabiał rubla dziennie. Czy za 6 rubli tygodniowo można było utrzymać rodzinę z 11 osób? Trzeciak twierdzi, że owszem, ja mam wątpliwości, ponieważ, jak wcześniej od niego słyszałem, on sam zaczął pracować w tymże zakładzie, gdy osiągnął 12 lat. Uczył się tylko przez 4 lata, najpierw przy ulicy Leonarda, gdzie nauczycielem był pan Grzegorzewski, potem w istniejącej jeszcze szkole Staszica naprzeciwko poczty. Z okresu tego Trzeciak wspomina strajk szkolny, prawdopodobnie na fali wystąpień dzieci i młodzieży w całej byłej Kongresówce, kiedy to uczniowie z inspiracji socjalistów w roku 1905 walczyli o wprowadzenie do nauczania języka polskiego w miejsce rosyjskiego. Jaś Trzeciak z kolegami walił piórnikiem o ławkę, wykrzykiwał: „Precz z caratem”, protestował. Pan Grzegorzewski rozpuścił niesforą klasę na trzydniowe wagary.

z raptularza



Długi żywot

Świętosław Krawczyński

U Kozłowicza chłopiec zaczął, jak ojciec, od polerowania marmurów, pumeksem, szmerglem i do polysku jakimś żółtym proszkiem. Otrzymywał za to także rubla dziennie, a jeśli robił po fajrancie przez 3 godziny, to jeszcze pół rubla dodatkowo. Czasem wypadało i 9 rubli tygodniówki. Ponieważ Jaś był pojętny i pracowity, dopuszczono go po pewnym czasie do frezarki, maszyny, która rzuła z marmuru płytki. Właściciel go polubił, pozwolił spać w swym domu na facjacie, przyznał o biady w kuchni. Kucharzyła u niego Katarzyna Jopkiewicz, wdowa, matka 2 córek. Z jedną z nich Trzeciak później się ożenił. Gdy więc w roku 1912 owa Katarzyna zmieniła pracodawcę i zaangażowała się do sędziego Okieńczyca, Rosjanina (nie mylić z popularnym w Kielcach adwokatem Okieńczyem!), poparła u niego młodzieńca tak skutecznie, że ten niebawem został zatrudniony jako woźny w instytucji sądowej, zwanej oficjalnie Zjazdem Sędziów Pokoju, która mieściła się w głównym, frontowym budynku na

posesji Karscha przy Krakowskiej rogate. Z okien obecnego mieszkania Jana Trzeciaka na piętrze w domu nr 35 przy ulicy Ściegiennego widać ten budynek, jak na dłoni.

Młody człowiek dostał przydział do prezesa Prozorowskiego, który miał duże wymagania osobiste od woźnych. Przez jego ręce przed Trzeciakiem przewinęło się pięciu czy sześciu, żaden jednak nie zadowolili biurokraty. Trzeba było bowiem dbać nie tylko o sprawy urzędowe, lecz także o jego śniadanka, prywatne mieszkanie, porządek w gabinecie i tym podobnie. Trzeciak zasłużył sobie niebawem na pochwały prezesa.

W lecie 1914 roku carscy urzędnicy opuścili Kielce, które dostały się pod okupację austriacką. Sądownictwo polskie powstało dopiero w roku 1917, oczywiście, zrazu dla mniej ważnych procesów, ponieważ te bardziej ważne w dalszym ciągu były rozpatrywane przez sądownictwo austriackie. Sądy te zresztą miały siedziby

w bliskim sąsiedztwie: — sąd austriacki zajmował budynek „naprzeciwko parku”, przy obecnej ulicy Świerczewskiego, gdzie mieścił się carski Sąd Okręgowy, sąd polski zaś objął budynek szkolny opodal, ten sam, w którym uczył się niegdyś Żeromski, i w którym jest obecnie biblioteka pedagogiczna.

Trzeciak pełnił służbę w tym polskim sądzie od pierwszego dnia, to jest od 31 sierpnia 1917 roku. Dostał się za poręką adwokata Ludwika Grüna, który był poprzednio sędzią hipotecznym. Pobory woźnego wynosiły wówczas 100 koron miesięcznie, co stanowiło zupełnie przyzwoite wynagrodzenie. Z dokumentów osobistych, które emeryt do tej pory przechowuje w idealnym porządku, wynika, że od 1 lutego 1919 roku podniesiono mu pensję na 300 koron. W styczniu 1920 roku zarabiał miesięcznie 460 marek. Później już trudno było się zorientować, gdyż wynagrodzenie rosło lawinowo. Trzeciak brał coraz więcej zaliczek na coraz poważniejsze kwoty inflacji!

Pierwszym prezesem Sądu Okręgowego w Kielcach był sędzia Zygmunt Nowicki, ludowiec, poliglota, władający podobno 10 językami. Po dwu latach pełnienia funkcji został on mianowany konsulem polskim w Chicago, a po powrocie do ojczyzny wybrano go senatorem z Miechowskiego i Olkuskiego.

Dopiero w roku 1922 Sąd Okręgowy przeniósł się do budynku „naprzeciwko parku”.

Wedle Trzeciaka polski Sąd Pokoju zmieniał kilkakrotnie siedziby. W roku 1917 mieścił się w Zamku, w lewym jego skrzydle, wysuniętym przed więzienie, potem w oficynie posesji na rogu Sienkiewicza i Plant, potem przy Sienkiewicza pod 59 albo 61, wreszcie przy Krakowskiej rogate, gdzie został przemianowany na Sąd Grodzki i przetrwał okupację.

Mimo osiemdziesiątki na karku, Jan Trzeciak ma znakomitą pamięć. Ope-ruje faktami z dzieciństwa i młodości treściwie, wprawnie, ściśle. Mówi na przykład, że razem z nim do służby w Sądzie Okręgowym w roku 1917 wstąpił woźni: Kosmala i Strójwas. „A Błoński?” — podsuwam. „Nie, Błoński nastał później”.

Jakie były obowiązki woźnego sądowego w owych czasach? Trzeciak wstawał z łóżka co dzień o godzinie 4 i zaraz udawał się do pracy. Sprzątał 5 pokoi swego wydziału cywilnego, w zimie palił w 6 piecach. Żeby napalić w nich, trzeba było przynieść węgiel z piwnicy, narębać drzewa na rozpałkę, wysuszyć to drzewo pomiędzy piecem a ścianą. Po rozpoczęciu urzędowania o godzinie 8 przez sędziów i sekretarzy, woźny musiał przygotować posiedzenie, jeśli na ten dzień było przewidziane: — zadbać o należyty wygląd sali rozpraw, przynieść akta, położyć na stole sędziowskim, przypiąć do drzewi wokandę, a przede wszystkim spełniać dyspozycje sędziów i podczas posiedzenia, i w przerwach. Należy pamiętać także o tym, że dla wszystkich, którzy przybywają do sądu — stron, świadków, ciekawych — głównym i najważniejszym informatorem jest woźny. Ileż to wymaga taktu, cierpliwości, spokoju i czuwania!

W dni, w które nie było posiedzeń, woźny miał jeszcze więcej roboty. Roznosił pocztę po urzędach za pokwitowaniem w specjalnej książce, podsywał akta, numerował je, dostarczał je sędziom do mieszkań, a przecież rozsypani byli po wszystkich kieleckich przedmieściach. Udzwigał się, umęczył. Najgorzej przy rozprawach wzywaniu sądowych. Wyobraźmy sobie, że obchodził te Baranówki, Sieje, Herby, Czarnowy, Cegielnie, Kawęczyny piechotę, bo nawet rower mu nie przydzielono. Bywało również, że jeździł czasem daleko umyślną podwodą, by załatwić to, czego poczta załatwić nie mogła, czy

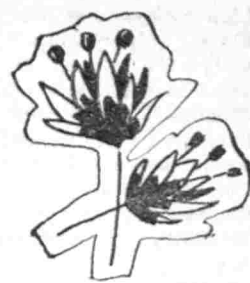
nie potrafiła. Tak doręczył wezwania na rozprawę około 100 mieszkańcom Gór Pińczowskich, gdy kilkakrotnie poprzednie rozprawy były odraczane, i sąd uznał, że jedynie Trzeciak da sobie radę z opornymi i sprytnymi pozwanymi. Powództwo przeciwko nim wytoczył niejaki Rabinowicz, właściciel młyna w Sitkowie.

A dyżury nocne? — Och, to osobny rozdział w życiu Jana Trzeciaka. Ponieważ w Sądzie Okręgowym pracowało 4 woźnych, na każdego z nich wypadał dyżur co czwarty dzień. Pełnili je z karabinem, pobranym z kasy sądowej osobiście pod koniec urzędowania i zdawanym następnego dnia rano. W roku 1918 dyżurny Trzeciak użył tego karabinu dla przepłoszenia rabusiów, którzy pewnej nocy nad ranem dostali się do budynku sądu, prawdopodobnie dla ogołocenia kasy sądowej z wartościowych dowodów rzeczowych. Szli po omacku, po ścianie, potracili spluwaczkę, która padając wydała brzęk. Trzeciak niewiele się namyślając strzelił, za nim strzelił dozorca Palimaka. Złodzieje uciekli na plac koło cerkwi, która stała wówczas na obecnym skwerze Żeromskiego. Żandarmi austriacy wyskoczyli ze swojej kwatery, poczęli szukać, nikogo nie schwytali.

Podobny przypadek wydarzył się potem woźnemu Kosmali. Ten jednak przestraszył się, zaczął krzyczeć: — „Bandyci!”. Rabusie zwiali.

To, co przytaczam, to tylko nieznaczną część opowieści Jana Trzeciaka, człowieka, który w sądzie kieleckim i dla sądu przeżył całe swoje życie. Ze swojej skromnej pozycji woźnego widział wiele, zapamiętał wiele, zobiektywizował wiele. W relacjach jego, bowiem, znać dążność do wiernego, nie zabarwionego stronniczą oceną odzwierciedlania faktów. Ta cecha jest dostrzegalna zwłaszcza w notatkach dotyczących pierwszych miesięcy po oswobodzeniu (rok 1945). Podam wybór z nich w następnym „Raptularzu”.

Akcja „Ciekoty”



Serca i dłonie

Bogdan Pasternak

Jechałem bez przekonania — mówi Andrzej Patkowski. Wypchnięto nas z hufca, ponieważ brakowało uczestników. Koledzy żartowali: „będziecie harować”. Mielśmy wtedy niewesołe miny. I jeszcze ten deszcz. Po przybyciu na miejsce zaczęło się rozbijanie obozu. Wszędzie mokro, kałuże wody, śliska glina. Pogoda niczego nie obiecywała. Jedyne wyglądał kadry podnosił na duchu, prawie rówieśnicy. Nie zadzierają nosa i pracują razem z nami. To bardzo ważne.

W trzydziestolecie Polski Ludowej harcerstwo Kielecczyny przystąpiło do budowy w Ciekotach stałej bazy obozowej, Domu Harcerza, który będzie nosił imię Stefana Żeromskiego, patrona Kieleckiej Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego. Akcja przyjęła nazwę „Ciekoty — 74” i przystąpiono już do budowy dróg Cedzyna — Ciekoty, Ciekoty — Masłów.

W bieżącym roku przypada 110 rocznica urodzin wielkiego pisarza. Nie można było wybrać lepszej daty na rozpoczęcie prac, których uwiecznieniem będzie szklany dom postawiony obok „domowej góry” Stefana Żeromskiego. Pisarz spędził tam dzieciństwo i młodość, a prawie całą swoją twórczość związał z krajobrazem świętokrzyskim.

Idea budowy „Domu Żeromskiego w Ciekotach” od dawna kiełkowała w środowisku kieleckich działaczy, miłośników twórczości pisarza. Zawieszono nawet komitet organizacyjny, otwarto konto, były już plany, prasa zrobiła nieco szumu, a później wszystko ucichło. Komitet podobno sam się rozwiązał, pieniądze na coś przeznaczone, plany poszły do archiwum, a w Ciekotach planiści postanowili zbudować... wielką zaporę wodną, aby zalać pamięć o Żeromskim.

Jak to było naprawdę trudno się już dowiedzieć. Różne plotki krążyły i półgębkowe uśmiechy. Jeszcze teraz mówią poniekąd, że zalew będzie budowany. Dobrze, że ludzie rozsądni nie wierzą w te brednie, a harcerze postanowili budować „szklany dom”. Mają w tym względzie poparcie społeczeństwa i władz politycznych województwa.

Ciekoty to kawałek pięknego terenu. Po Dolinie Wilkowskiej hula świętokrzyski wiatr. „Puszcza jest nieczyja — nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża — święta”. Rzeczka czysta jak iza przecina obóz harcerski na dwie połowy. Warta stoi na wzgórzu, żyto szumi i niesie pod namioty zapach chleba.

Na obozie w Ciekotach każdy ma przepracować dwanaście godzin — powiada Mirosław Piątek. Robimy wysiłki — kto więcej. Drużyna z Pińczowa pierwsza przekroczyła normę i wykopała 142 metry rowu. Za dwa dni nowy rekord ustanowiła dwudziestopięciopięciopięciorowa drużyna ze Starachowic, która wykopała 184 metry rowu w ciągu czterech godzin. Tego rekordu już nikt z I turnusu nie pobili.

Niestety, brak narzędzi, nie przygotowany front robót przez Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych, oto główne przeszkody, które nie uczą solidności i zaangażowania. A ktoś to tak często narzeka na młodzież? Od kogo uczą się obojętności? A może czasem krytykując młodych warto pomyśleć i o nas.

Może będzie to brzmiało nieprzekonywająco jeżeli napiszę, że praca fizyczna sprawia młodzieży dużo satysfakcji. Lubią wysiłek, który daje efekty. I nie sprawdziły się „strachy” kolegów z okresu przedobozowego. Specyficzna atmosfera rywalizacji, niewielki wysiłek w postaci dwunastu godzin w okresie trzech tygodni oraz am-

listy

Literacka geografia Kielecczyny

Zarząd Koła Przewodników Świętokrzyskich śledzi z zainteresowaniem artykuły zamieszczane w tym regionalnym piśmie, chciałbym również, aby arty-

kuty te we właściwy sposób informowały społeczeństwo o historii i teraźniejszości regionu świętokrzyskiego.

Zamieszczany na ostatniej stronie cykl artykułów redaktora Stanisława Mijasa pt. „Literacka Geografia Kielecczyny” w wielu wypadkach podaje błędne informacje, które niezbyt dobrze świadczą o znajomości regionu. Na przykład w nr 6/45 „Opactwo benedyktyńskie założone przez Oblatów z Monte Casino w I połowie XII w. ...” — dziwne, że Oblaci fundowali benedyktynom opactwo. „Późnobarokowy kościół odnowiony przez Jagiellów” — gdzie barok, a kiedy Jagiello? W nr 7/46 „Dar narodowy na jubileusz 50-lecia pracy pisarskiej H. Sienkiewicza” — w 1900 — 1901 r. H. Sienkiewicz miał 55 lat — wcześniej zaczął piarstwo!

To przykłady z niektórych haseł, a jest tych przykładów więcej. Może redaktor Stanisław Mijas oprócz powoływania się na swoje wydawnictwo „Świętokrzyskie Szlaki Literackie” zechciałby zajrzeć do małej książki pt. „Województwo kieleckie — przewodnik” A. Jankowskiego i W. Sadowskiego wydanej nakładem wydawnictwa Sport i Turystyka — Warszawa 1973 — cena 42. — zł.

Mamy nadzieję, że Szanowna Redakcja przeprowadzi właściwą korektę i w przyszłości o naszym regionie zamieszczać będzie wiadomości i informacje dobre czy złe ale zawsze właściwe.

Z poważaniem:

Prezes Koła Przewodników Świętokrzyskich

OD REDAKCJI. Dziękujemy. Postaramy się.

bicie związane ze zdobyciem plakietki miały bez wątpienia wpływ na pracę i aktywność szkoleniową młodzieży. Ale w Ciekotach spotkałem również harcerzy z odznakami „Honorowych Obywateli Fromborka”. Tam też pracowali solidnie i wspominają akcję „Frombork — 1001” z rozrzewnieniem i dumą.

„Moim marzeniem — mówi Małgorzata Tarabula — jest przyjechać tu w przyszłym roku, budować „Dom Żeromskiego”, otrzymać plakietkę, a później honorowe obywatelstwo Ciekot. Kiedy przyjadę za dwadzieścia lat ze swoimi dziećmi — mówię pół żartem pół serio — to pokażę im, za co otrzymałam honorową odznakę. Tak sobie marzymy po wieczorach — wyjaśnia — i opowiadamy różne głupstwa.” „To wcale nie głupstwa — buntuje się koleżanka. Popieram ją i zaczynam wierzyć, że harcerze naprawdę zbudują ten dom.”

Tegoroczną akcję „Ciekoty — 74” zaplanowano na 1200 osób. Przyjechało na I turnus 550 harcerów i harcerzy. Mimo deszczu, błota, pracy trudno im wyjechać z Ciekot. Komendant akcji Stanisław Kurcman mówi o kłopotach. Kiepska pogoda i trudności w dogadaniu się z przedsiębiorstwami drogowymi. Byli pierwsi, z ich błędów można będzie wyciągnąć naukę przy opracowywaniu programu wakacji na lata przyszłe. Już teraz stwierdzono, że nielato jest pogodzić kursy drużynowych z zadaniami programowymi obozu zlokalizowanego w Ciekotach. Akcji nie należy wiązać z kursem dla funkcyjnych. Jej zamierzenia są dosyć ważnym i istotnym programem działania wychowawczego i jednocześnie kursem

harcerskiej aktywności. Więcej nie trzeba.

„Jestem pierwszy raz na obozie — mówi inna harcerka. — I nie wiedziałam nawet, jak się namiot rozbija. Siedem razy próbowałam, aż się udało. Byłam zła i przyrzekałam sobie, że to już pierwszy i ostatni raz. Teraz zmieniłam zdanie. Drużna Basia Barwicka dopiero zdała maturę, jest prawie naszą rówieśniczką, ale imponuje nam postawą, wytrwałością i koleżeństwem. Pracuje razem z nami, robi to samo co i my, tylko lepiej i jeszcze w nocy przygotowuje się do zajęć. Jesteśmy sprawiedliwi i nie możemy kwękać.”

W głowach instruktorskich rysuje się obraz całego przedsięwzięcia. Siedzimy przy ognisku na Radosławskiej i rozmawiamy. Nie jest łatwo zbudować szklany dom. Masowe uczestnictwo organizacji w akcji „Ciekoty” wcale nie ułatwia zadania. Dom Harcerza mogłoby zbudować państwo, ale harcerze chcą spróbować sami swoich sił. Przecież ma to być ich dom. Oczywiście, bez pomocy państwa byłoby to przedsięwzięcie niezwykle trudne, ale władze obiecały pomoc. Harcerze zaś chcą dać jak najwięcej, mieć przekonanie, że to oni byli trzonem zamierzenia.

W okresie zimy warto zorganizować kurs harcmistrzowski i jeszcze raz przemyśleć wszystko od początku. Opracować szczegółowe zamierzenia w oparciu o doświadczenia tegorocznej akcji. Sprawa bowiem jest godna rozważań i wysiłku. Można osiągnąć wiele, bo zamiar jest piękny i zapał młodzieży imponujący.

„Nikogo nie Kocham — pisał Żeromski — Ciebie jedną Kocham cudowna, rodzinna ziemia. Bądź

błogosławiona, stworzona dla nas, abyś wspierała dusz naszych słabość, abyś powiększała uczuć małość, piękna, dobra, umiłowana, karmicielko ziemi...” „W uszach moich trwa szum twój lesie dzieciństwa i młodości. Przebiegam w marzeniach wyniosłe góry moje domowe: Radosławską i Kamień, Łysicę, Łysiec, Strawczanę, Bukową, Kłówną, Stróżną oraz wszystkie dalekie siostrzyce”. Jego miłość do tej ziemi budzi wzruszenie i szacunek. Instruktory harcerscy świetnie to przekazują młodzieży. Ogniska harcerskie z gawędami, pieśniami, zawody i zabawa służą harcerskiej idei wychowania przez działanie.

Stanisław Radek dopiero wrócił z pracy i pokazuje utylane w błocie gumki. O Żeromskim słyszał, a jakże. W domu opowiadali o sadzawce koło dworu, po której jeździło się zimą w drewnianych butach. Żeromski bawił się z wsiowymi, a później chodził do szkoły w Psarach. Więcej — powiada on — może powiedzieć Karyś Jan, najstarszy człowiek w Ciekotach.

Idę do Karysia. Mieszka pod samym lasem. Lipiec chylił się już w drugą połowę, a na łąkach mokre kopy siana i żyto jeszcze zielone. Karysia spotkałem na miedzy. Ma już 85 lat, ale trzyma się mocno i energicznie zamiata kosą po wybujałej trawie. Żeromskiego nie pamięta, ale starsi bracia o nim opowiadali. Ziemia w Ciekotach od powstania należała do carskiego generała. Ojciec Stefana Żeromskiego był dzierżawcą dworku. Pisarz jest dumą tej małej wioski, bo ktoś by o niej słyszał, gdyby nie jego książki i sława jaką zdobył władając piórem.

Wracam do obozu. Z daleka niesie się harcerska pieśń:

Tyle już pieśni wspaniałych
złożono
Nasza się z nimi nie zmierzy
Chcemy zaśpiewać serdeczną
i prostą
Pieśń świętokrzyskich
harcerzy.

Przyjechali nowi. Pierwsze okrzyki, poszukiwania znajomych. Stary turnus ma przed sobą tylko drogę powrotną. Liczą już tylko na przyszły rok, bo znów chcą się spotkać na harcerskim szlaku.

W namiocie komendanta leży na stole wielka księga. Jest to kronika, która otwiera początek akcji pod kryptonimem „Ciekoty”. Na ostatniej stronie kronikarz wkleił już meldunek z datą 15 lipca 1974 roku. Czytamy w nim: „My, członkowie drużyn Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej Kieleckiej Chorągwi im. S. Żeromskiego, uczestniczący w I turnusie akcji „Ciekoty — 74” meldujemy o zrealizowaniu pierwszych prac przy budowie dróg Cedzyna — Ciekoty i Masłów — Ciekoty. W ciągu 4784 godzin wykopaliliśmy 2784 m³ rowów przydrożnych, splantowaliśmy 4910 m² ziemi pod koryta i pobocza dróg, załadowaliśmy 102 tony niesortu, rozładowaliśmy 60 ton piasku, wykonaliśmy szereg innych prac ziemnych pod budowę jezdni. Wypracowane fundusze przekazujemy na konto budowy Domu Harcerza w Ciekotach”.

Po trzech dniach pobytu w harcerskich obozach i ja nie mam ochoty wracać do miasta. Dobrze tu z wami, nawet wtedy, kiedy deszcz pada i zimno zagląda pod cienką płachtę namiotu.

BOGDAN PASTERNAK



fol. A. Znojek

Droga

Henryk Kawiorski

Nauczyciele traktowali Tomka Leliwę na specjalnych warunkach. On tymczasem zawarł bliższą znajomość z przygluchym Kałegą, Suchankiem i płomienistowłosym Czubałą. Byli silniejsi i bardziej zaradni. Korzystając z ostatnich dni uchodzącego lata gromadnie wybierali się do lasu, nad rzekę, w „angielskie” doły lub za „powstańczy” ugor.

Tomek myślał o swojej rodzinie. Odkąd pamiętał, nie wiedział, jak się najlepiej, w trójkę utrzymywali się z tego, co zarobił ojciec, który zamiast zbijać fortunę, tygodnie i miesiące spędzał na zebraniach, rozjazdach po powiecie, wiecach i naradach, a po powrocie do domu z drugiej wsi, gdzie jak raz z kilofem budował remizę strażacką, z nie tającym entuzjazmem przysiadł się do kartofli z zsiadłym mlekiem i pod niebieską wychwalał prawdziwie wspaniały smak tych potraw. I tak było wiecznie, na każdym nowym miejscu, choć przed przenosinami obiecywał żonie rajskie jabłka i rzeki płynące miodem. Ale tak widocznie musiał być. Na pewno ojciec miał swoje racje, że postępował odmiennie, narażał się na kpiny i niechęć, zostawiał żonę i dziecko własnemu losowi.

Późną nocą, ponad rozgwar wiatru w odartych z liści gałęziach, szmer deszczu i hurgot ocierającej się o mur naderwanej rynny, wyniosło się nierównomierne granie silnika. Hałas był niezwykle na tym odludziu i Tomek natychmiast otrząsnął się z rozespania. Marta zapaliła skwierczącą lampę. Jej blask zakolysał się w czarnych od nocy szybach.

— Poznaj towarzysza Radio — powiedział Piotr w kuchni. Był zaziębiony i zachrypnięty, ale głos miał mocny, twardy. — Zagotuj herbaty, kochanie, przyrządź cokolwiek do jedzenia. No i nie gniewaj się. Znowu się nie gniewaj. Towarzyszu, pozwólcie do pokoju, będzie ciepło.

Radio był barczysty, kanciasty i powolny. Zrzucił długie za kolana, skórzany płaszcz, którym spływała woda i powiesił obok pieca. Marta postawiła na piecyku czajnik.

Piotr Leliwa mówił z lokciami szeroko rozstawionymi na stole, przechylony do Rady:

— Od wojny, drogi towarzyszu, minęło ładnych parę lat, ale nie wszystko jest jeszcze, jak być powinno. Myślę nawet, że nigdy tak nie będzie, jakby wypadało. No, ale od polityki są mądrzejsi, ja szary człek od roboty. Widzieliście tę wieś? Otóż pięć rodzin dalej mieszka w czworakach, które dawno powinny zniknąć z powierzchni ziemi. A gdzie przyzwoita szkoła? Dokąd dzieci jak sowy będą się gnieździć w tej tu ruinie? A gdzie elektryczność? A droga przez wieś, żeby nie tonąć, kiedy się idzie po sól do

sklepu? Nie tu nie ma, nawet chęci, żeby się zmieniło. Ale chęci muszą się znaleźć i wieś musi się zmienić, chociażbym miał ziemię z posad ruszyć i wniebogłosy wzywać ludzi do roboty!

Radio także nachylił się nad stołem. Monotonnie stukał szeroką dłoń o ceratę i szeptał:

— W pojedynkę nie dacie rady, zarzniecie się na śmierć. Zastanówcie się, jak znaleźć z ludźmi wspólny język. Od tego trzeba zaczynać. Z nimi nie pójdzie tak łatwo, nie od dziś znam tę wieś. Tu ojciec synowi przykazywał, żeby tylko o swoje stać, o niczyje więcej. I jakże z nimi tak z nagle! — wzruszony wytarł garbaty nos w kraciastą chusteczkę. — Ze stworzyliśmy nową władzę, towarzyszu Leliwa, to wcale jeszcze nie znaczy, że wszyscy wiedzą, jak ją pojmować. W krótkim terminie trudno zmienić świadomość, często ludzie z rozpędu niezwykajni są inicjatywy i naszym zadaniem jest ich przekonać, że są do niej zdolni.

Tomkowi miło spało się pod przytuliną okryciem. Nad ranem przebudził się powtórnie, kiedy w parku pękło i zwało się drzewo. Radio już odjechało. Na stole stały talerze po jajeczniczy i szklanki.

Po lekcjach Czubała zaprowadził kolegów na ukryty w głębi parku pagórek, który przypominał wylądowanie ze starości kota. Tomek opowiedział im o głuchej ścianie w podziemiach pałacu. Zgodnie doszli do przekonania, że warto tam poszperać, ale dopiero gdy zamazanie ta górka i skryje się pod śniegiem, bo na niej przed wojną stała stróżówka i skarb mógł zostać schowany właśnie tutaj. Łatwiej było radzić, trudniej kopać ziemię zbitą w zwartą masę. Rezultat dwugodzinnego wysiłku był więcej niż mizerny, wyszczerbili jedynie ostrze rydla.

Chłapy i płoty tonęły w gęstym, maziowym błocie, przewalającym się strumieniami od pałacu przez wieś. Dom sołtysa Durszniaka ginął w płataninie i labiryncie ślepych uliczek, odnóg, furtek i sekretnych przejazdów. Piotr Leliwa z trudem, po długim i męczącym błędzeniu odnalazł właściwe obejście. Od kasztana przy bramie do narożnika stoły przeciągnięto drut, do którego przytwierdzono na łańcuchu złego półwileczura. Groźny szczepek żelastwa wzbudził w Piotrze czujność. Przygnał plecami do drewnianej ściany i zasłonił Tomka. Pies wyćwiczoną metodą skoczył Leliwie do gardła, ale ten

kopnięciem w rozwartą do chwytu paszczkę zwałił go w bajoro. Ostre światło latarki elektrycznej przecięło owal podwórza.

— Gość w dom — powiedział zgryźliwie Durszniak. Nie ukrywał, że wizytę kierownika szkoły traktuje jako zło konieczne. Leliwa rozpiął płaszcz.

— Z wiosną zaczniemy budować drogę przez wieś, sołtysie. Dobra, z kamienia, żeby konie nóg nie łamały. Wykopie się pobocza, zwiezie budulec...

Durszniak oparł się o futrynę, spiął rękę na piersi, udawał obojętność, ale złość w nim kipiała na Leliwę.

— Drogę, powiadacie. Ciekawa historia, niech mnie licho. A któż ją będzie, znaczy się, robił?

— My wszyscy, to chyba proste.

— Chłopy się na śmierć zarobią. No bo trzeba zważyć. U każdego pole, a żeby to chociaż pole, same kamienie i piach! — Durszniak spiął rękę i wbił w Leliwę zwężone z nienawiści źrenice. Zdawało się, że spadnie na niego jak jastrząb, ale się opamiętał. — Nikt nie będzie nami rządził i rozkazywał, sami wiemy, co i jak — powiedział z naciskiem, dobitnie.

Piotr i Tomek wracali taplając się jak gęsi w kleistym błocie, które zdradliwie rozstępowało się pod nogami.

— Przegrałem pierwsze spotkanie — powiedział ze smutkiem Piotr.

— Nie — odrzekł Tomek. — To nie był żaden mecz.

— Nie znasz Durszniaka. Nie wiem, co w nim siedzi i to jest najgorsze.

— Ale ja ciebie znam!

Marta kazała Tomkowi iść spać i została z Piotrem w kuchni. Płacząc prosiła, żeby ją puścił, pozwolił wyjechać, dokąd oczy poniosą, bo już brakuje jej sił i nerwów, skarżyła się, że traktuje się ją jak zbędną osobę. Piotr po swojemu tłumaczył istnienie wartości ważniejszych nad przemijające doznania oraz dostrzeganie takich sił w człowieku, które działają cuda, jeśli w odpowiednim czasie wydobędzie się je z ukrycia. Ludzie zawracają bieg rzeki historii, czemuż by tak. Leliwa, o którym nikt nigdy nie słyszał, nie miał zbudować drogi przez wieś? Po kwadransie spór przycichł i zakończył się obopólnymi przeprosinami. Marta i Piotr byli oświeceni tym, że się rozumieją, potrzebują i kochają na przekór wszystkim przeciwnościom.

— Patrzcie, chłopaki, ziemia się osypuje! — Czubała wbił w zbocze pagórka rydło.

gadki ludowe

O wygnanych zwierzątkach

(OPOWIADAŁ MATEUSZ ARCAŁ, LAT 61,
KURASZKÓW — 1966)
znotował B. Wojewódzki

Mieli gospodarz koguta, co nie chciał pocić. Wziął go wygonili. Mieli i psa, co nie chciał szeleć. Tę go wygonili. Mieli i kota, co nie chciał mysz łapać. Tę go wygonili. Mieli i osiołka, co nie chciał ciągnąć. Tę go wygonili. Poszło precz wszystko z obedińca. Chodzi, chodzi cały dzień. Żywi się cym może. Na noc chce się gdzie przespoc. Ale, gdzie? Jest już w lesie. Widzi, że daleko w młaskanku, świeci się światelecko. Idzie tam. A to pomysłanie zbójców. Wchodzą wszystko do środka. Nikogój nima. Do jedynia

jest wszystkiego. Kogut pojod kasy i grochu. Pies pojod mimsa. Kot tyz. Osioł pojod siana i owsa.

— Gdzie bedzies społ? — pyto sie pies kota.

— Jo bede społ w popielniku — godo kot.

— A jo bede społ przy weńci, na skórze — godo pies.

— A ty osiołku? — pytajom pies i kot.

— Jo bede społ na podwórku, w rogu, przy sianie — kwicy osioł.

— A ty, kogutku, gdzie pośpis? — pytajom wysocy.

— Jo bede społ wysoko, na buńcie — kukuryko kogut.

Spiom. W nocy przychodzą zbójce. Pies laps jedynego za nogę. Ozenwał mu poroki i cholewe. Tyn mówi do drugiego:

— Doj zopofki! Drugi singo po zopofki a tu kot drapnół go z popielnika. Zbójca ucił. Sucho na podwórku dronga lub młota. Złoto wedla siana. Osioł zbieł go kopytami. Zbójca się przewrócił.

— Mówiom po koleji: — Coś me złapało, kiej kliscami! A mnie złapało, kiej kotwicami! A mnie dzbekło, jak młotym! Wtedy kogut zapiot:

— Ku-ku-ry-ku!

Nejstarszy zbójca krzyczy!

— Uciekajmy, bracia, bo tu woło: — Dawoj go tu!

O, i zbójce ucieły, wszystkie.

Zwierzaki zostały i tam mieskały.

(Z tomu „Diabły, strzygi, baby“)

Kopali gorączkowo, dopóki ostrze nie za-
grzytało o żelazne okucia skrzyni. Łomem
rozbili przegniłe wieko. Kalega, który zajrzał
do wnętrza zbladł i odsunął się instynktow-
nie. W skrzynce metalicznie połyskiwały gra-
naty. Suchanek stoczył się ze wznieślenia na
leń, na szyję i poderwał się do ucieczki, ale
przygwoździł go chłodny głos Czubały:

— Zaczekaj. Tego nie można zostawić.
Przylezie jaka oferra, zaczniesz dłużyć i po-
frunie w chmury.

Piotr i Tomek dotarli lasami i bezdrożami
do stacji kolejki wąskotorowej. Obciążone
wełonem mgły słońce wzniosło się wysoko
i prostopadle sterczało nad kominem mle-
czarni. Poczekalnia była wąska jak kurnik.
Poplamiony i podarty afisz wzywał do walki
ze stonką ziemniaczaną.

— W wojnę, o pustym brzuchu, z bronią i
w pełnym obciążeniu po bagnach i werte-
pach przemierzaliśmy bez wytchnienia po
pięćdziesiąt kilometrów za jednym zama-
chem — orzekł Piotr na skargę syna, że go
bola nogi.

Miasto podobało się Tomkowi, który rzad-
ko wychylał nos poza próg rodzinnego do-
mu. Do czarnego auta wsiadało rozbawione
towarzystwo, dwie panie w futrach, z dale-
ka pachnące perfumami i dwaj nie mniej
elegancy panowie. Blondynka o dużych
oczach pokazała koleżance Tomka i powie-
działa: „Patrz, jaki ładny chłopiec, chcia-
łabym takiego urodzić”.

Piotr zostawił syna na ławce, a sam po-
szedł do Rady. W dziesięć minut później
wrócili w szarej furgonetce, którą zostawili
przed pałacem. Marta zaprosiła ich na obiad.

— Chwali się, że podjęliście ten trud, ale
czy się nie obawiacie, że z tej drogi może
nic nie wyjść? — zapytał Radio.

— Dlaczego, to moja sprawa, ale się za-
wzięłem i dopóki tu będę, robota musi iść,
z przekonywaniem czy nie, mnie za jedno.
Poruszę wszystkie sprężyny, jakie są, zapu-
kam do wszystkich drzwi, z niejednego pie-
ca chleb jadłem i stąd... Nie przegranej się
boję, ale tego, że może mi zabraknąć sił.
Są tacy ludzie, którzy milczą i jest im z tym
wygodnie. Mówicie, że nie tylko tę wieś ma-
cie na głowie, zgadza się, ale co mnie inne
obchodzi? Zgoda nie. Tą się interesuję, w
której mieszkam. Nie wybuduję drogi w in-
nym województwie, ale tu mogę. Tu! — pal-
nął pięścią w stół, aż się rosół wylał z ta-
lerza. — Bowiem są tacy ludzie, których ży-
cie jest ciągłym umieraniem, ale ja nie chcę
umierać za życia — dodał spokojnie.

Na długiej przerwie Czubała, Kalega, Su-
chanek i Tomek wskoczyli do piwnic przez
boczne okienko, gdy wejścia z korytarza pil-
nował służbiście woźny Susłoń. Zsunęli się
po zwale miału i kolejno przekroczyli sąg
okrągłaków. Suchanek zawadził o dytę i z
krzykiem bólu upadł na blaszaną beczkę.
Przed sobą mieli chropawą ścianę z grubo
ciosanych i mocno spojonych kamieni. Byli
wzruszeni.

Sołtys Durszniak miarowo kroczył po
najgłębszym błocie i tłukł pałąk w za-
wieszony na brzuchu bęben. Nawoływał
chłopów, żeby wieczorem zebrali się w szko-
le na rozmowę z kierownikiem. Zgodnie z
przykazem Susłoń napalił w klasie i na nau-
czycielskiej katedrze ustawił lampę z wy-
szlifowanym do białości kłosem. O zmierz-
chu przyszło ośmiu mężczyzn i Leliwa zro-
zumiał, że Durszniak stara się go przechy-
tryć. Mówił do zebranych o poświęceniu,
samozaparcu, gotowości do czynu, jedności
i sile.

— Nie mnie droga potrzebna, ale wam! —
skandował wskazując zgarbionych i spoko-
rniatych, którzy mieli dzieci w szkole i wo-
leli nie zadzierać. — Nie szkodzi, że dzisiaj
nas mało, niedługo cała wieś się stawia!

Durszniak otarł usta i półgębkiem przy-
rzekł, że wystara się o trzy podwozy na ka-
mien. Leliwa zwolnił z ostatniej lekcji chłop-
ców z siódmej klasy. Durszniak smagnął ba-
tem tęgie końskie zady. Klusem wypadł na
drogę do cmentarza.

— Tam leży poeta, pisał różne dziwolagi
— krzyknął sołtys przez ramię do Tomka.

— A jego co to obchodzi? — obruszył się
Czubała.

— Jak to co! Jaki ojciec, taki syn. Inteli-
genty, psiachnąć, nie nie robią tylko książ-
ki czytają i z tego czytania głupieją.

Kilometr za cmentarzem były wawozy.
Chłopcy napelnili wóz kamieniami i rzucali
je u stóp pałacowego wzgórza, skąd miała się
zaczynać droga.

Wieczorem pod okapem kuźni snuli domy-
sły, jaka też niespodzianka szykuje im się w
podziemiach, ale żaden nie wiedział nic pew-
nego.

Tomek wracał zboczem, gdy zafurkotał
kamień. Ocucił go chłód. Poruszył się.
Podniósł głowę, w której narastał ból
i jak niewidomy, po omacku szukał jakiejś
podpory. Wstał chwilejąc się i zataczając.
Przystawał co krok dla nabrania tchu, na
ostatek upadł na kolana i na czworakach
wczółgał się do kuchni. Marta skamieniała
ze zgrozy. Piotr odsunął ją łagodnie i pole-
cił, żeby przyprowadziła Skiwę.

Pół-lekarz, pół-znachor Sikwa zasapał się
pędząc na wyprzódki z Martą pod pałacową
górkę. Opatrzył poszarpaną i szeroką ranę na
czole i rozdarły policzki.

— Do śmierci brakowało dwóch centyme-
trów — powiedział wycierając ręce i paku-
jąc narzędzia chirurgiczne do skórzanego tor-
by. Piotr odprowadził go, a wrócił ze zbro-
czonym krwią kamieniem.

— Tym dostał — rzekł do Marty. — Scho-
wamy to, żeby Tomek pamiętał, że człowiek
człowiekowi być, jest i będzie wilkiem.

— Ale pomyśl, Piotr, trzeba nie mieć su-
mienia, trzeba być zwierzęciem, żeby mścić
się na dziecku!

— Mylisz się — sprostował. — Ten kamień
przeznaczony był dla mnie.

Kiedy Tomek poczuł się silniejszy, wdarł
się do lochów. Kalega owinał szmatami łom,
aby uniknąć hałasu. Spoisty głaz się nie pod-
dawał. Czubała markotniejąc wymamrotał,
że przedź płuca wypływają, niż przebijają ścia-
nę na wylot.

Sołtys Durszniak jak pantera i piskorz
wykrecał się od przyjęcia jakiegokolwiek zo-
bowiązań, chociaż Leliwa bezlitośnie przy-
gniatał go do muru argumentami, że w ta-
kim tempie jak obecnie nie zbudują drogi
przez dwadzieścia pięć lat. Rozmawiali w
kancelarii.

— Co pan porabiał w wojnę, sołtysie?
Durszniak podrapał się po kilkudniowym
zaroście na obłej twarzy.

— To i owo się działo, takie różne histo-
rie, żeby się nie chwalić, nie żebym sterczał
na boku, nie! Udzielałem się. Mogą zaświad-
czyć. Nie narzucam się, swojego czasu pil-
nuję, jako że każdy powinien znać swój
czas, a sołtysem wybraли mnie dziesięć lat
wstecz — powiedział z namaszczeniem, jak-
by się przymierzał do kąpiastej miski z żu-
rem i kartoflami.

Leliwa ściągnął pokrowiec z maszyny do
pisania, wkręcił kartkę i dwoma palcami
wystukał pismo, które podał Durszniakowi,
żeby je puścił motylem od zagrody do za-
grody.

Tomek popełnił drobne świętokradztwo. Z
czytanki wyrwał dwie kartki z tekstem
„Grenady”, który znał na wyrywki, ale od-
czytywał stale na nowo z niesłabnącym za-
chwytem.

Durszniak przywiódł w piątek pod pałac
osiemnaście wozów. Leliwa skrycie upa-
jał się zwycięstwem i nie zepsuło mu
humoru, że wbrew jego życzeniom kamień
zwalono nie pod wzgórzem, ale przy zagro-
dzie sołtysa. Nie cieszył się długo. Durszniak
uderzył Tomka batem i kazał mu się wy-
nosić do pałacu. Chłopiec wyglądał biednie.
Spod bandaży i plastrów wyzierały chude,
zapadnięte policzki, rozszerzone oczy błysz-
czały nazbyt silnie z wyrzutem i bólem.
Wątle, skulone ramiona dygotały pod bluzą
z chłodu i lęku.

— Piotrze, opamiętaj się! — wyszochała
Marta ogarniając Tomka. — Nie ma na
świecie takiej drogi, której nie należałoby
się wyrzec dla szczęścia tego biednego
dziecka.

Brzęknęło tłuczone szkło i do pokoju
wpadł kamień. Piotr jednym susem dopadł
okna. Jak pokraczne zmory kucały przy pa-
lacu jesiony, graby i buki, a pod nimi ni-
czym zmokłe kury postrzępione chaszcze
leszczyny i głogu.

Durszniak pochylił kark, zanim wszedł do
kuchni, gdzie spotkał się z palającymi gniewem
oczami Piotra Leliwy.

— Mam za sobą wieś, a wy jesteście sami
— uprzedził groźnie.

Piotr uderzył go w podbródek i drugi raz
w usta. Sołtys stracił równowagę i runął na
wznak na schody, które zagrzecotały, jakby
spuszczono worek z ziemniakami.

W nocy zniknęły kamienie, które leżały
przy pałacowym wzgórzu. We wsi, po pew-
nym okresie osłupienia i niepewności zaczę-
to śmiać się głośno z bezradności Piotra Le-
liwy. Ci, którzy nie mieli dzieci w szkole
mijali go niby słup telefoniczny. W tej sy-
tuacji Piotr nie mógł nic przedsięwziąć, a z
kolei urażona ambicja nie pozwalała na bez-
czynność. Zadzwoił do Rady, że przyjedzie
w poufnej i ważnej sprawie.

— Nie sądzicie mnie źle — powiedział do
Rady. — Mam w sercu zapal, sądziłem, że
mi się powiedzie. Choć może to się wyda
dziwne, ale... przepraszam.

— Czym byliście w partyzantce?
— Chcecie powiedzieć, że nowe czasy wy-
magają odmiennych metod działania? Czy,
się zgadza?

— Nie, nie zgadza się. Życie jest nieubła-
gane i toczy się własnymi torami, czy tego
chcemy, czy nie. Zaczekajcie z budową do
wiosny, teraz jest listopad, za późno na ja-



fol. A. Znojek

kiełkowiek poczynania. Przez zimę coś wykombinujemy. Droga we wsi będzie.

Tomek z przyjaciółmi zbliżał się do celu. Mur był coraz cieńszy i coraz donośniej odzywało się zza kamiennej przegrody grobowe echo. Czubała odstawił łom i usiadł na przewróconym wiadrze, a Suchanek, Kalega i Tomek na przystawionych skrzynkach.

— Musi coś być, nie wierzę, żeby nie było — zapewniał z przekonaniem Tomek.

Czubała otarł pot, kopnął wiadro i uderzył łomem. Z okrągłego jak miednica otworu posypał się gruz, ułamki kamienia poleciały niczym okruszki porcelany. Powiało stęchłym i zastałym powietrzem. Przed nimi ziała gardziel lochu. Ognik świeczki tań-

czył niespokojnie. Od zamurowanego niegdyś wejścia prowadziły w dół ceglane schodki. Czubała przecisnął się przez dziurę i z żartów, niefrasobliwie pociągnął za korzeń, który wystawał z popekanej, łukowato sklepionej powaly. Sufit runął. Świeczka zgasała. Echo kamiennej lawiny długo tłukło się po piwnicy.

— Hej, Czubała, odezwił się — zawołał z nadzieją Tomek.

Zmiazdzone ciało z trudem wyciągnięto z komory. Tomek usiłował przyłączyć się do smutnej procesji, która ciągnęła od palacu, uważał, że jego obowiązkiem jest uczestnictwo w ostatniej drodze zmarłego przyjaciela, ale sołtys Durszniak przemocą wypchnął go z orszaku.

Piotr Leliwa, którego na pogrzebie powitały nienawistne spojrzenia, powiedział parę pokrępiających słów o ofiarach rzuconych na szaniec, a gdy trumna zjechała na sznurach do grobu, pociągnął Tomka za rękaw.

— Chodźmy, nic tu na razie po nas — rzekł.

Tomek obejrzał się wychodząc z cmentarza i w myślach posłał przyjaciołowi na pożegnanie wiersz:

„Jabłoczek” szwadron
wciąż grał bez wytchnienia,
na skrzypcach epoki
smyczkami cierpienia...

HENRYK KAWIORSKI

krok w Polskę



Z łązikami po górach

Stanisław Rams

Na Turbacz, na Turbacz! Z tym okrzykiem wlałem pod tobół zwany często plecakiem i usiłowałem go dźwignąć. Było w nim wszystko, co regulamin przewiduje. Spełniłem wymogi z żarliwością neofity. A więc ubiór na wszystkie pory roku, gdyż w górach wczesną wiosną spotkać można mróz, śnieżyce, a także nieznosne upały. Najwięcej deszczu. Wziąłem też konserw co nieco, aby wzmocnić siły, nadwątlone na szlaku. Soki by się przydały — pomyślałem i też zabrałem kilka puszek i butelek. Były także ładunki mające zapobiec przykrym niespodziankom. Uskładało się tego sporo. Rzęziłem przez jakiś czas, zanim udało mi się powstać z gorliwie załadowanym plecakiem.

— Aż mu oczy na wierzch wylazły — zauważył rzeczowo synek.

— Przeleciałbyś się na dzieśnięte piętro, dla wprawy — doradza mi stroskana żona.

Istotnie, warto byłoby się na tych schodach w wieżowcu sprawdzić. Przynajmniej kilka razy. W pełnym rynsztunku. Zeby kompromitacji potem nie było. Ostatni raz byłem w wysokich górach przed dwudziestu laty. Zawsze kończyło się na tęsknocie; podjęcie decyzji odkładałem na później. Dopiero

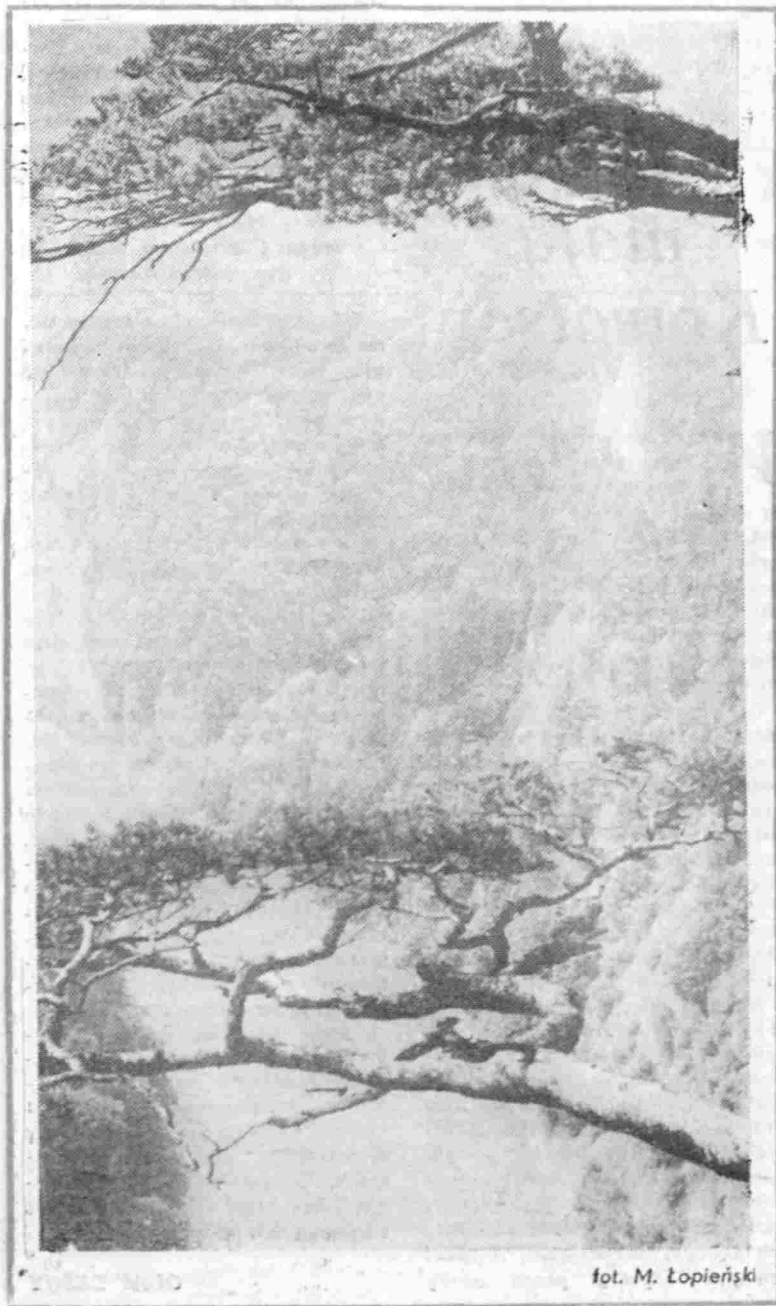
gdy zapoznałem się z grupą łązików kieleckich, zrzeszonych w Klubie Górskim pod wodzą braci Wróblewskich, pociągnęli mnie za sobą. Tenże klub, zrzeszający kilkudziesięciu miłośników łązikowania po wierchach, zorganizował pod koniec kwietnia tradycyjny już wiosenny zjazd w Beskidy. Bodaj siódmy z kolei. Poszedłem z młodymi w góry, niczym juczny dromader łąkający oazy.

Kielce mają dobre połączenia z Rabką, przyległą Chabówką, bardzo ważnymi punktami wypadowymi w pasmo Babiej Góry, Gorce, czy też — po dwudniowym domarszu — w uroczysku Pieniny, Beskid Wysoki, ziemi sądeckiej — wzniesienia Radziejowej, Przehyby i dalej — w stronę Krynicy grzbietem górskiego łańcucha Jaworzyny. A są to wysokości dość znaczne, zatem mogą w jakimś stopniu zadowolić turystę poszukującego silnych wrażeń. Nie mają przy tym waloru karkołomnej wspinaczki po skalistych granicach, co zawsze jednych wprawia w zachwyt, w innych wzbudza melancholijne nastroje. (Zagadka turystyczna: co wisi na ścianie i płacze? Nie wiecie? Taternik w górach!). Szczyt Babiej Góry wznosi się 1725 metrów ponad poziom morza, Turbacz — 1310, Radziejowa — 1262 metry, niewiele mniejszą

ma wysokość krynicka Jaworzyna. Wystarczy wsiąść w któryś z pekaesów często na tej trasie kursujących, aby po pięciu godzinach jazdy wyostać się z zasmrodzonych spalinami Kielc i znaleźć się w urokliwym zakątku górskim. Można zresztą wybrać się pociągiem, także dogodne połączenie. Dziwię się, że dotąd nie korzystałem z tak wspaniałej okazji kontaktu z przyrodą.

Pojechało nas w tym roku maluczko, bo tylko 120 — na ten zjazd. Na różne trasy. Dołączyłem do najmniejszej, kilkuosobowej grupki kierowanej przez trójkę przewodni-

ków: mgr Tymoteusza Wróblewskiego i jego żony Ewy — pracowników Instytutu Geologicznego w Kielcach, a także przez młodszego Jana Wróblewskiego — działacza PTTK, sekretarza kieleckiego Oddziału. No i my szeregowcy: chemik, inżynier, lekarz-neurolog, technik budowlany, geolog, dziennikarz. Wybrałem tę najdłuższą, bardziej uciążliwą trasę, aby wynieść najwięcej pożytku. Nie ma nic lepszego na zmęczony system nerwowy nad taki wypoczynek: kilka dni wędrówki po szczytach górskich, wśród lasów i łąk, dając więcej niż miesięczny pobyt w jakimś tam funduszowskim letni-



fol. M. Łopieński

sku. Zmęczenie fizyczne, zmiana aura na szlaku, wspaniałe widoki, przynoszą w sumie odprężenie psychiczne. Pamiętać powinni o tym przede wszystkim ludzie zajmujący odpowiedzialne, wyczerpujące nerwowo stanowiska i funkcje. Niestety, bardzo trudno — nas mieszcuchów — o tym przekonać. Wolimy wędzić się przy kawiarnianych stolikach, wzmacniać się żytnią wódką w barach i gospodach, narzekając na pieskie życie i stressy. Ale kto raz chociażby wybrał się na górską eskapadę, zasmakował w niej, zawsze do gór będzie powracał. Takie postanowienie i ja podjąłem, nawiasem mówiąc — nie jestem tu wyjątkiem.

Dem wycieczkowy w Rabce tonął w nudzie. Dwie pary uczniów urządziły sobie tu spotkanie, poza tym pustki. Ciotka z astmą pilnowała dobytku,

parzyła herbatę. W świetlicy telewizor, kilkanaście czasopism; buldog senny wstał od pieca, aby mnie powąchać. Nie każdego kasa — uspokoiła mnie ciotka. Wyszedłem na miasto. Sceneria gór, wśród nich domostwa jakby onieśmielone majestatem wierzchołów. Rześkość powietrza. W restauracjach, barach — luźno. Oczekiwanie na masowego turystę. „Dziennik Ziemi Górskich” — mutacja kra-kowskiego „Dziennika Polskiego” — informuje w artykule wstępnym, że Sądceccyzna spodziewa się w tym roku półtora miliona gości. Jaki procent z tego gości z kieleckiego województwa? Większość rajdów w górzyście część ziemi sądeckiej odbywa się właśnie z Rabki. Nad ruchem czuwa kilka przedsiębiorstw i organizacji turystycznych. Baza noclegowa —

36 tysięcy miejsc, nie licząc łóżek w pokojach gościnnych górali. Tylko pozornie wielkie liczby. W sezonie letnim, jak zawsze — kłopoty z noclegiem. Pod koniec kwietnia — jeszcze luz. W maju również na ogół spokojnie. Prawdziwy run zaczyna się w czerwcu. W sezonie letnim już wszystkie miejsca noclegowe zamówione — poinformował mnie kierownik domu wycieczkowego w Rabce. — Niektórzy zamawiają już rok naprzód. Przyjeżdż pan w maju albo we wrześniu, wtedy jest pustawo.

Pierwszy dzień wędrowki wita nas wiosennym deszczem. Uśmiecha się przez chmury słońce. Ale szczyty — w śniegu. Zwiedzamy muzeum etnograficzne poświęcone wielkiemu piewcy gór — Orkanowi i ruszamy ku wierzchołom. Góra Maciejowa częstuje śnieżycą. Na Wierchowej świeży śnieg leży dużą warstwą. Drwale z Poręby Wielkiej twierdzą, że przed czterema godzinami przypiekało, tu słońce. Korowali papierówkę bez koszul, potem szybko wdziali waciaki. Grzejemy się przy ognisku, gawędzimy. Potem zdobywanie szczytu Jaworzyny Ponickiej, marsz podczas śnieżycy w stronę Starych Wierchołów. Po kilku godzinach wreszcie miejsce postoju: schronisko na wysokości 1027 metrów.

Wyspaliśmy się w urodzonym miejscu ukołysani szumem górskiego wiatru. Kilkadziesiąt łóżek daremnie czekało na gości. Ranek obiecał nam pogodę słoneczną. Ale zrobił psikus. Kierunek wymarszu — Groniki, Obidowiec, Polana Rozdziele, Turbacz. Wędrowka powyżej chmur, które często snują się w smerkowym lesie. Na Turbacz zastaliśmy prawdziwą zimę, płatki białe wirowały w powietrzu. Schronisko tu większe, wygodniejsze: restauracja, kawiarnia, czytelnia, agencja pocztowa. Zjedliśmy schaboszczaka z bigosem, na wyścigi. Nikt tu nie dziwi się apetytem, zwyczajną rzecz. Piliśmy potem kawę, grali w szachy do północy. Dziewczęta pa-trzyły w telewizor. Sen w piętro-wych łóżkach. Schronisko na ogół opustoszałe. Jak wszędzie, tylko zimą śnieżną i latem jest tu gości zatrzymanie. Inne pory roku świecą pustkami.

Trzeciego dnia wędrowki musieliśmy zdażyć do pani Polczyk, zapobiegliwej góralki, na kaszankę z kiszoną kapustą. A prowadziła do niej droga przez kilka szczytów, powyżej tysiąca metrów. Piękne widokowo teryny Polany Gabrowskiej, potem Kiczora, Polana Wysznia, Fied-rówka, Przełęcz Knurowska i wreszcie upragniony Ustrzyk. Pani Polczyk ma dwupiętrową willę drewnianą, ostatnio do-budowała piętrowe skrzydło, dla turystów. 120 łóżek zasta-liśmy pustych. Pani Polczyk liczy dni do sezonu; wtedy będzie ruch jak w ukropie. Jak wszędzie — historia się powta-rza.

Polcykowie mają kilkanaście morgów ziemi, ale nie żyją z rolnictwa. Mówią, że nie popia-

ca. Wzbogacili się nieco na tu-rystyce. Wioska na wysokości ponad 800 metrów ściśle długim węzłem w dolinie, ściś-nięta wzniesieniami. Łączy się z Ochotnicą, najdłuższą wioską w Polsce, ponad 10 kilometrów. Do miasta — 22 kilometry, na skróty przez góry. Droga łączą-cą z krajem dopiero budują. Światło elektryczne też dopie-ro przyjdzie, w przyszłym roku. Ale roztropni chłopkowie nie czekałi z założonymi rękami na to dobrodziejstwo XX wieku. Kilka rodzin skrzyknęło się, zbudowali na rzece tamę, za-montowali małą turbinę i od kilkunastu lat żarówka świecą w niektórych chałupach Ustrzy-ku. Jeden z nich, najobrotniej-szy gazda, został wybrany dy-rektorem lokalnej elektrowni. Dogląda więc tej fabryczki ta-niej energii huczącej mu w podpiwniczonej stodole. Co za to ma? Ano, wychodzą mu cza-sem do pola, dzieciśka sąsiadów krówek mu przypilnują, jakoś trzeba żyć w zgodzie. U Pol-czyków jest więc światło elek-tryczne, a to oznacza, że tele-wizor działa, i lodówka, i prał-ka...

Za talerz pełny kaszanki, smacznie chrupiącej, zapłaciłem 5 złotych. Herbatą z sokiem — złotówka. Jeszcze jej widać nie nauczyli, ile można zdzierać z przybłądów.

Wykapałem się rankiem w rześkiej wodzie górskiej rzeki. Deszcz wciął rosił. Polczyko-wa zapraszała do pozostania przynajmniej na jeden dzień dłużej. Nas ciągnęło na szlak. Mieliliśmy przed sobą najdłuższy odcinek: 8 godzin wędrowki. Lubań był silnie ośnieżony, zas-py dwumetrowe, mgła gesta jak mleko owcze. Niemal po omac-ku krążyliśmy po szczytach, za-nim znaleźliśmy ruiny schroni-ska. Na ścianie kamiennej — metalowa blaszka z napisem: Schronisko na Lubaniu spalilo Niemcy 25.IX.1944 r. zabijając partyzantów AK: Krystyniaka Al. „Szarotka” i Gorczewskiego Ign. ps. „Brzoza”.

Podpiwniczenia i parter stoja- cało, zbudowane z mocnej ska-ly. Odbudowa tego obiektu by-łaby stosunkowo łatwa. Nieste-ty, nikt jakoś o tym nie pomy-szał. A schronisko tutaj bardzo potrzebne; okolica malownicza, atrakcyjna wielce, z nagłymi zmianami aury. Nigdy nie wia-domo, co będzie za godzinę: sło-neczko, opalanie czy chmury, brzemienne śniegiem. Niedaleko Krościenka, znanego w kraju wczasowiska. Zainteresowanych odbudową jest wielu. Ale wy-konawców, fundamentów nie ma.

— Może jakiś apel poprzez prasę? — podsuwa myśl mgr Tymoteusz Wróblewski.

— Może w zbawidzie znajdują się miłośnicy gór? — podsuwa inny.

— Rzeczywiście, ktoś powi-nien pomóc w odbudowie — zgadzam się z sugestią. — Ale kto? Czyżby nie Zarząd Główny PTTK?

Pod Krościenkiem mineliśmy, pijane grupy wycieczkowiczów. Najbardziej współczucie budziły

listy

Głos mają Kowalscy

W sierpniowym numerze „Przemian” ukazał się artykuł pióra redakto-ra Olafa Leśnego pt. „CZAR-NA GODZINA”, przedstawiają-cy szczegóły zbrodni popełnio-nej przez Danutę Kowalską. W chwili czytania artykułu nasu-ła się mi myśl, jaki cel miał redaktor, zacierając nazwisko zbrodniarki.

Niezbitym faktem jest prze-cież to, że zabójstwo Ciepelo-wej popełniła Danuta Z. (Skrót redakcji!). O tym się w ogóle nie pisze. Jest przecież już po rozprawie sądowej i dlatego też red. Leśny winien wyraźnie i z wielkim oburzeniem szkalować jej właściwe nazwisko a nie stwarzać wymyślonego; po to, aby przed opinią publiczną wy-bić ją z okrutnej zbrodni.

Na szczęście w tej miejscowo-sci i w okolicach, gdzie wyrosła zabójczyni Danuta Z. zamiesz-kuje kilka rodzin o nazwisku Kowalski, które cieszą się do-brą opinią, są szanowane i lu-biane. A w tej chwili zostały dotknięte krzywdą moralną wy-rządzoną przez red. Leśnego, który na łamach prasy szachuje ich dobrym nazwiskiem. Artykuł ten jest czytany przez osoby

nie znające właściwego nazwis-ka przestępcy i właśnie te bę-dą niezbitnie wierzyły, że zabój-stwo popełnione było przez Da-nutę Kowalską. Podobne zabój-stwa popełnione w Rzepinie, re-daktorzy opisywali bez żadnych osłonek, nie stwarzali błędnych nazwisk, lecz przeciwnie, w każdym zdaniu wymieniali — Zakrzewscy. Czy ta zbrodnia różniła się od zbrodni w Rzepi-nie? (...).

Zrozumiałe jest, że jeśli Da-nuta Z. popełniła przestępstwo, a jej mąż w pewnym stopniu przyczynił się do tej tragedii, to nikt inny tylko właśnie ich rodzina okryta hańbą, winna również ponieść zastuszoną ka-rę. (...).

Irena i Stanisław Kowalscy
Piaski Brzustowskie

OD AUTORA: To rzeczywi-scie problem nie lada: wymie-niać przestępców po nazwisku czy też ukrywać ich pod kryp-tonimami? Jestem zwolennikiem, aby pisząc o nich używać wła-snie prawdziwych nazwisk. Jed-nakże prawnicy, eksperci nauk prawnych przekonują nas, że w ten sposób można wyrządzić krzywdę niewinnym dzieciom, dalszej rodzinie itp.

Nazwisko zbrodniarki zostało zmienione na bardzo pospolite „Kowalska” z wielu względów. M.in. z tego powodu, że repor-taż podawał dość intymne szczegóły z osobistego życia. Jej mąż nie zgadzał się na publika-cję tych szczegółów z podaniem nazwiska prawdziwego. Miał do tego prawo. Chodziło też o to, aby dać młodej dziewczynie moż-liwość powrotu do normalnego życia, po odbyciu kary. Gdzie-kolwiek by potem uciekla, za-wsze ktoś mógłby znaleźć „Prze-miany” z reportażem i szanta-żować ją w różny sposób.

Chyba więc będziemy, w pe-wnych sytuacjach, nadal ukry-wać prawdziwe nazwiska boha-terów negatywnych. Przynaj-mniej niektórych. Kryptonimy Kowalskich, Nowaków, Iksiń-skich, Ypsilonów dają gwaran-cję, że czytelnik natychmiast rozpozna ich nieprawdziwość.

OLAF LEŚNY

młode dziewczęta, chyba jeszcze uczennice. Wychowawcy, działające energiczniej, bo nam kwiat narodu wiednie...

N ocowaliśmy w Krościenku, w prywatnym domu wycieczkowym. Takich obiektów jest tutaj kilka, nie licząc pokoi gościnnych w pomniejszych posesjach. Była gorąca woda w kranach, łazienka, sporo wygod. Zwiedziliśmy opustoszałe miasteczko; sami miejscowi snuli się po uliczkach. Zwiedziliśmy pobliską Szczawnicę. Część grupy poszła zwiedzać Pieniny, myśmy powędrowali dalej, wierzhami po Beskidzie Sądeckim do Rytra. Ta trasa należy do najpiękniejszych, chociaż stopień trudności możliwy do pokonania nawet przez maślanki i emerytów. I takiego też zobaczyliśmy: sumiastego staruszka, w kuse wdzianko ubranego. Sunął zważając na ciele grupy młodych, tryskający humorem. Powitaliśmy się, pożegnali. Na Przehybie w schronisku, w cudownie położonym uroczysku, napić się można nawet piwa eksportowego. Smakowity bigos, mięsowa, słowem — kuchnia dobrze zaopatrzona. Jadalnia świeciła pustkami. Pokoje również czekają na sezon, rzadko teraz zajęte.

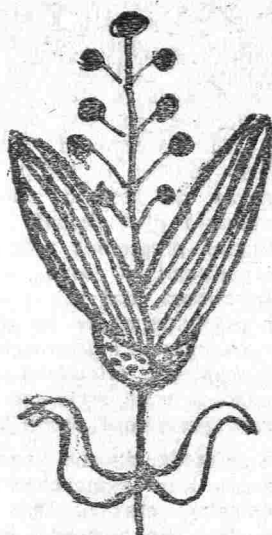
Czas przeznaczony na łażikowanie szybko się kończył. Z rosnącym smutkiem opuszczaliśmy góry, ładując się w Rytrze do pakaesu. Brakło nam chociażby dwóch dni, aby znaleźć się w Krynicy. A cudowny to kawałek szlaku, przez pasmo Radziejowej. Przyjedyśmy niebawem, dokończymy wędrowkę.

Teraz, po sześciodniowej włóczędce, mogę wam śmiało zacytować słowa regulaminu turysty górskiego, zapewniając o ich rzetelności: „Turystyka górska jest... doskonałą szkołą charakteru i hartu fizycznego. Turystyka górska wymaga bowiem pewnych szczególnych kwalifikacji fizycznych i moralnych w stopniu znacznie wyższym niż wycieczkowanie na nizinach. Uczy ona wytrzymałości i odporności na trudy i niewygody, uczy racjonalnego poruszania się wśród gór, umiłowania ich i pielęgnowania zasad ochrony przyrody. Daje odprężenie psychiczne, a równocześnie kształci wolę do przezwycięzania własnej słabości”.

Dziś, kiedy to czytacie, już za późno, by swój błąd naprawić. Kłniecie w niebogłosy na szlakach narzekając na kłopoty z noclegiem, psiocząc na tłok w gospodach, na brak w zaopatrzeniu w podgórskich sklepikach. Ten błąd możecie naprawić w przyszłym roku, wybierając się na łażikowanie wczesną wiosną. A jeśli wolicie żółtą jesień w górach, zapewniam was, że już pod koniec września wierzchy pustoszeją, schroniska witają was będą jak zbawców, otwartymi bramami.

STANISŁAW RAMS

zapiski z codzienności



Stefanowi Borkowi do Anglii pośłanie

Tadeusz Bartosz

Z przyjemnością przeczytałem list Pana napisany, jak sam Pan mówi, „w odległej Anglii”. Wydrukowałem go w „Przemianach”, aby przeczytali ludzie w Borkowie i Kaczynie, do dzisiaj tam żyjący, pamiętający Pana i których Pan również pamięta.

Chciałbym więc szerzej opisać Pana „rodzinny Borków, te pachnące żywicą lasy”, w których nieraz zbierał Pan grzyby i jagody, tę ciszę nad stawem, w którym beztrudno z kolegami kąpał się Pan, wówczas młody chłopak... Tak, tęsknota za rodzinnymi stronami, a te rodzinne strony oznaczają przecież również kraj, Ojczyznę całą, jest uczuciem ogromnym, trzymającym człowieka do końca jego dni...

B yłem wczoraj w Borkowie. Wygodnym autobusem Państwowej Komunikacji Samochodowej jedzie się tam piętnaście minut, wóz staje przy asfaltowym szlaku do Pierzchnicy, Chmielnika, Buska, Staszowa, czy nawet Sandomierza prowadzącym. Tuż biegnie droga przez wieś w prawo, w lasach ginąc na Trzemosnę i w lewo, tu gdzie dzisiaj mieszkają Czajkowscy, Rycomblowie, Góralscy, Kmieciki, Franek Pawlik (naprzeciwko Kmiecików)... Niektórzy domy mają pobudowane nowe, inni w starych drewnianych siedzą. Nie wiem, jak wyglądał Borków w 1929 roku, kiedy Pan, jako czternastoletni chłopiec, z rodzicami go opuszczał, „na kresy”, jak tu ludzie wspominają, udając się...

Ale inny był to zapewne Borków, ten wiejski, staropolski, drewniany i słomianą strzechą kryty. Przypomnę, we wrześniu 1939 wojna wybuchła, hitlerowskie Niemcy napadły na nasz kraj... Wielu młodych chłopaków — na pewno również Pana kolegów z Borkowa, Słopca i Kaczyna — poszło na zachodnie kresy, bronić, jak Edek Zebrzowski ze Słopca, tam właśnie bronić — rodzinnego Borkowa, tego stawu, tych pachnących żywicą lasów, w których zbierał Pan grzyby i jagody, tego — jak Pan ładnie określił — „powiewu rodzinnych stron”...

...Jedni chłopcy wrócili, inni zostali w polu... innym jeszcze los wypadł jeniecki, niewolniczy w hitlerowskich obozach zagła-

dy, gorszy może jak od kuli śmierć...

...W tamtych czarnych latach wiele złego działo się w Borkowie. Z dworskich czworaków, gdzie mieszkał Pan z rodzicami, z młodszą siostrą (nie zdołałem dowiedzieć się jej imienia), z najmłodszym bratem Władkiem (czy tak? zgadza się?), hitlerowcy zabrali dwie żydowskie rodziny — Rakowskich i Czapników... Pamięta Pan Gucię Rakowską i Ruchlę „Ciapnicki”? Z Gucią mieszkaliście w tym czworaku przez sieć...

A le... jednocześnie, w odpowiedzi na terror hitlerowskich okupantów, chłopcy z Borkowa, Kaczyna, z obu Słopców — Biskupiego i Szlacheckiego, z Daleszyc, Wojciechowa i Szczecna, zbierać zaczęli się po lasach w grupy nieduże, potem w całe oddziały, kompanie, bataliony... Rozbrzmiewały daleszyckie lasy odgłosami wystrzałów, całych kanonad, hitlerowcy nie wazyli się w nie wchodzić... A latem 1944 roku w lasy kieleckie, w rejon Rakowa, Wielek, Cisowa i Daleszyc zrzucona została sformowana w lasach okupowanej przez Niemców części Rosji, partyzancka polska Brygada „Grunwald”, pod dowództwem „Maksa”, Józefa Sobiesiaka, która tu na szeroka skalę zaczęła Niemców tłuc...

...A ludzie w Borkowie? Żyli z dnia na dzień w gryzącej niepewności — co będzie jutro. Większe gospodarstwa zajęli Niemcy, w tartaku, tym nad Belnianką, przy szosie, też oni rządili...

W styczniu 1945 r. Borków przeżył swoją drugą od września 39 wojnę. Ze wschodu ruszyła huraganem ofensywa wojsk radzieckich i ar-



tot. M. Łopieński

ni polskiej — wyzwalających polskie wsie i miasta z okrutnej niewoli. Znam tamten czas, jak było w Borkowie, z opowiadań ludzi, którzy to przeżyli. Jeszcze wczoraj babcia Czerwińska opowiadała mi, jak w tym styczniu właśnie, szesnastego, chyba, żołnierze Armii Czerwonej nacierający od Daleszyc, nie mogli wejść do Borkowa, bo we młynie, co jak ludzie wspominają, osiem walców miało, że tylko „żyto wyszło się i mąka wyszła”, siedzieli uzbrojeni hitlerowcy.

Spłonął w te styczniowe dni nie tylko Strężycowy młyn. Uciekający do Kielc Niemcy podpalili wiele domów borkowskich gospodarzy, od kul zginęło sporo ludzi, jak choćby Jan Komisarczyk, mąż pierwszy Stanisławy Pawlikówny, chodziliście razem do borkowskiej czterooddziałowej szkółki, gdzie uczyła pani Helena Babińska z Kielc... Więc ten Jan Komisarczyk trzynastego stycznia 45 „we front”, jak mówią tu ludzie do dzisiaj, przechodził z bunkra, który był w podwórku u Stęplowskiej, do drugiego bunkra i padł rażony odłamkiem pocisku...

Mam przed sobą książkę wydaną przez Instytut Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk. Jest to praca Adama Szczypiorskiego, pt. „Ludność parafii Daleszycy powiatu kieleckiego w latach 1608 — 1825”. Jest to niezwykle ciekawe studium, którego autor (to jego doktorska dysertacja) prześledził i zanalizował dynamikę rozwojową ludności w kilku wsiach i osadach parafii Daleszycy, należących do kieleckiego klucza biskupów krakowskich, w latach 1603 — 1825. Bardzo to ciekawa książka i wiele w niej również o Borkowie, którego mieszkańcy od wieków zajmowali się rolnictwem na tej ziemi s apnej i piaszczystej, a w wolnym czasie, uprawiali rękodzieło.

Czy wie Pan np., że w Borkowie, a właściwie w Słopcach Szlacheckim, ale to przecież o miedzę, w 1579 roku na dwóch łanach kmiecych były cztery gospodarstwa kmieci i dwóch zagrodników z rolą... Jeden z tych zagrodników... nie znamy jego nazwiska, był biedny, a drugi — Stanisław Borek (!?), miał mały folwark. Myślę, że on był faktycznym założycielem Borkowa, bo już w 1603 roku pracowały tu przez Borka założone rudina i kuźnica... stare księgi metrykalne nazywają je po łacinie... minera, rudina, później cudina Borków, czyli Kuźnica Borków...

Pobliskie Daleszycy otrzymały w 1570 roku prawa miejskie. Wiązały się z tym dla młodego miasteczka, jak i dla okolicznych wsi, a więc i dla Borkowa liczne przywileje, wśród nich wcale nie błahy: fabrykowanie piwa i wódki, z nałożonym obowiązkiem na okoliczne wsie i kuźnice biskupie...

...Ale wróćmy do Słopca Biskupiego, dzisiaj nazywa się on Słopcem Rządowym, tym stano-
wiącym właściwie jedną całość z Borkowem. Lustracje z XVII wieku mało mówią o Borkowie, był on raczej małą wioską... Ale jest ciekawy zapis o dwóch lustracjach przeprowadzonych w

Słopcach Biskupim, z którym jak można przypuszczać łączył się Borków, w latach 1788 i 1789. Przedstawiając stan gospodarstw i ludności tych wsi, mówi on:

„Na karczmarza przyjęto 8 osób rodziny i służby, na młynarza, do którego obowiązków należało obsługiwanie pily biskupiej, przyjęto z rodziną i najemnikami 8 osób, gdyż ani karczmarz, ani pilaż nie mieli przydzielonych łąnów. Przy tartaku było mieszkanie leśniczego biskupiego, człowieka wysłużonego, a więc starszego, na którego przyjęto 2 osoby.”

...Szkoda, że nie znamy nazwisk ludzi żyjących w tamtych odległych czasach. Być może — te same nazwiska noszą ich potomkowie dzisiaj w Borkowie siedzący? Jedno wiemy, w końcu XVI i na początku XVII wieku, wszystkie te osady rozwijały się dzięki temu, że w ziemi była ruda, ludzie zaczęli ją dobywać, przetapiać w owych rudinach i cudinach Borkowa, Słopca, Kaczyna, Szczecna. Do dzisiaj przy drogach zobaczyć tutaj można duże łupy żużlu, ciężkie, bo wiele w nich jeszcze żelaza, sztuka wytopu nie była wtedy tak przecież rozwinięta jak obecnie...

...Więc Borków, powiedzieć można, był w tamtych czasach niedużą osadą prywatną. Kronikarz tak o niej mówi:

„Prywatna osada górniczo-hutnicza Borków przeszła fazy rozwoju, podobnie jak Smyków. Poważnie ucierpiała w latach wojen i ciężkich epidemii w latach 1689—1719. Wzrost liczby ludności Borkowa rozpoczyna się w latach 1733—1736, po których nastąpiły czasy ponownego zmniejszenia się ludności.

Z zapisów w księgach zawartych małżeństw w latach 1709—1746 wnioskujemy, że w 1746 r. w Borkowie mieszkały 4 rodziny — posesor, 2 rodziny górnicze i małżeństwo zawarte w 1743 r. Gdy na rodzinę posesora policzymy 8 osób, na 2 rodziny górniczo-hutnicze po 6 osób i na nowo zawarte małżeństwo 3 osoby, otrzymamy 23 osoby.

W latach 1664—1668 księgi parafialne zanotowały w Borkowie 12 urodzeń...”

Nie wiem, ilu mieszkańców miał Borków w 1929 roku. Do 1972 roku była tu Gromadzka Rada Narodowa składająca się z 5 sołectw i ludność tej borkowskiej gromady liczyła 3.400 głów. Myślę, że dzisiejszy Borków ma do 300 mieszkańców... Czy to nie mówi za siebie? I trzeba tu wziąć jeszcze pod uwagę, że wielu młodych zdobywszy fach czy wykształcenie w Kielcach, Krakowie, Warszawie — nie wraca już do rodzinnego Borkowa, otrzymuje mieszkanie w nowych, miejskich wieżowcach, kupuje samochody...

Pochodziłem jednego dnia po ludziach starszych wie-
m, którzy mogli Pana pamiętać.

Więc babcia Czerwińska powiedziała, że... jakos nie przypomina sobie czterastoletniego Stefana Borka. Ona w lutym 1929 r. wyszła za mąż i zaraz wyjechała z mężem do Prus...

Stacha Góralska: — Też go nie pamiętam, bo oni — ojciec, matka (Borki) i siostra młodsza mieszkali „na górze”... tej chałupy już nie ma, spaliła się „we front”... Pamiętam tylko, że jakieś jego (Stefana Borka) ciotki mieszkały u Lubienieckiej... Podobno on pisał list do jednej z panien Lubienieckich, pewnie mu się podobala... razem się chowali...

Babcia Czerwińska: — Wiem, że oni na Ukrainę stąd wyjechali... Tu w okolicy, w Znojowie i gdzie indziej dużo jest Borków, ale to pewnie nie rodzina Stefana Borka...

Stanisław Dziedzic, urodzony w 1907 roku w Słopcach, 16 lat miał, jak przyszedł do pracy w tartaku... Od tego czasu w Borkowie mieszka, ożenił się u Pawlików...

— Pamiętam ojca Stefana Borka, Franciszka, wysoki chłop był, metry odbierał w tartaku...

...Weszli potem do domu Stanisława Dziedzica. Żona jego Stanisława, córka Józefa Pawlika, pierwszy jej mąż, to ten wspomniany przeze mnie Jan Komisarczyk, zabity w ostatnich godzinach przed wyzwoleniem...

— Ze Stefanem chodziłam razem do szkoły — mówi Dziedzicowa. Małego Boreczka przezywaliśmy Choropa, bo tak wymawiał słowo choroba... Mam nawet zdjęcie wszystkich uczniów, z nauczycielką panią Heleną Babińską z Kielc, którą wszyscy bardzo kochaliśmy...

...Patrząc na to zdjęcie... gromada dzieci, chłopcy, wiejskie pastuszki, dziewczynki w matczynych chuścinach na głowach, wyglądają jak małe a dorosłe wiejskie kobiety...

— Tak tu okutane jesteśmy — mówi Dziedzicowa — bo zima była, przyjechał z Kielc fotografista, to było wielkie wydarzenie...

Stanisława urodzona w 1913 roku, była o dwa lata starsza od Pana. Pokazuje siebie na zdjęciu, była wtedy małą dziewczynką, krótko ostrzyżoną, w jakimś białym fartuszk... Wymieniam nazwiska dzieci, które dziś już — dorosłymi ludźmi będąc, żyją i pracują w Borkowie... Oto Adam Pawlik — jej brat... Feliksa Wasikówna, która teraz jest „za Basą”, mieszka za Kmiecikami... A Maria Kaczorówna znów jest „za Lubienieckim”...



fol. A. Pęczalski

Tadek Pawlik — kuzyn „Ciachacza”, Gucia Rakowska i Ruchla Czapnikówna — mieszkały w czworakach... Stasia i Jadzia Majówny... No i — Pan też jest na tym zdjęciu...

— Stefan uczył się w szkole bardzo dobrze — mówi Dziedzicowa. — Na samych piątkach był... Miał najmłodszego brata, Władka, bawiłam jego i siostrę... Borkowie nie mieli wiele ziemi, ojciec Franciszek był w tartaku Izidora Strężyca takim pisarzem, w lesie też zapisywał kubiki... Borkowie do Borkowa przybyli chyba ze Szczecina. Żona Franciszka, nie pamiętam jej imienia, ale nazywała się

Klimkówna, z Niwek... Pamiętam, że jak bawiłam im dzieci, gdy szli w pole, to Borkowa zostawiała nam podpiomyk upiesamym Borkowie... tu gdzie czony w piekarniku, abym nim karmiła dzieci i siebie... nikt nie miał wtedy rozkoszy... W 1929 roku wyjechali „na kresy”, podobno Franciszek Borek był tam gajowym...

Rwie nie zna losów dalszych wiemy, nikt tu w Borkoszcze — Pan sam wie. Nie Stefana Borka. To przecież nie jest istotne. Każdy przeżył w życiu swoje niebo, swój czysciec, swoje piekło...

Jedno mogę powiedzieć. Ludzie w Borkowie żyją dzisiaj lepiej. Wielu młodych chłopców i dziewcząt, którzy stąd wyszli, jest dzisiaj — inżynierami, lekarzami, prawnikami, oficerami wojska, agronomami, uczą młodziem w szkołach, liceach i uniwersytetach.

... A Borków po dawnemu został — piękny... Belnianka jak dawniej płynie swoim piaszczystym korytem, czysta i ryb pełna. W lasach rosną te same poziomki, jagody, łochynie, zwane tu solankami lub pijanicami, maliny, jeżyny i grzyby... A na rozlewiskach Belnianki w stronę Słopca i Kaczy-

na, jak zawsze brodzą po łąkach polskie bociany... Belnianka w były chłopskie pastwiska, między szosą daleszycką, a tą idącą do wsi zbudowana została zaporą, która spiętrzyła wodę rzeki, dając piękny kawał wody, plaży i zagajników dla sobotnio-niedzielnich weekendów mieszkańców Kielce, które dzisiaj są stolicą województwa, liczącą grubo ponad 150 tys. mieszkańców. Mogę Panu powiedzieć, że Kielce w 1990 roku będą miały do 300 tys. mieszkańców.

A może Pan... wybierze się kiedy do starej ojczyzny? Do Borkowa?

TADEUSZ BARTOSZ

Po wakacyjnych peregrinacjach, tak koniecznych naszym nerwom nadszarpniętym emocjami piłkarskich mistrzostw świata, trzeba znów wracać na ziemię. Tym bardziej, że czas nie stoi, że w sporcie dzieje się nadal wiele bardzo ciekawych rzeczy. Nie tylko zresztą w wyczynowym. Wszystko wskazuje na to, że dla kieleckiego sportu zaświtały wreszcie dobre dni w sensie organizacyjnym, generalna poprawa klimatu wokół tej niebagatelnej dziedziny naszego życia społecznego. Mam na myśli głównie nakreślony przez egzekutywę Komitetu Wojewódzkiego partii program działania, zalecenia dla związków, organizacji sportowych, działaczy. Szczegółami postaram się zająć innym razem, gdyż ranga tych decyzji wykracza poza ramy krótkiego felietonu. Jedno jest pewne — musimy zrobić wszystko, aby nie pomijając sportu, rekreacji, wypoczynku dla szerokiego rzesz społeczeństwa, w zakładach pracy, miastach i wsiach, w osiedlach — tworzyć podwaliny dobrego sportu wyczynowego nie jako podstawy piramidy, ale jej wierzchołka. Tak wskazuje logika, tylko z szerokiego działania można dojść do selekcji najzdolniejszych, do tworzenia zespołów mogących sięgać po laury w skali krajowej. Jednym słowem — przez sport masowy, dobrze zorganizowany w sensie ilościowym, jak i w sensie rozwoju bazy — do wielkiego wyczynu. Tak brzmi główny tenor zaleceń podjętych przez egzekutywę KW.

Powie ktoś — nic nowego, są to kanony obowiązujące od dawna. Niestety, w naszym kieleckim wypadku przypomnienie to nie traci mocy obowiązującej. Bo weźmy chociażby sport szkolny i akademicki, którego doroczną rewiew niedawno obserwowaliśmy. Gdyby wierzyć statystykom, tegoroczna Spartakiada Młodzieży i Studentów przyniosła nam sukces, wyrażający się awansem z przedostatniego miejsca w kraju, w roku ubiegłym, na pozycję czternastą. Awans ten można także przeliczać na punkty i medale. I największy nawet sceptyk statystyki tej nie podważy. Ale przy bliższym spojrzeniu na fakty, pobieżnej nawet analizie tych właśnie punktów i medali, dojdziemy do wniosku, że niestety, ale tak dobrze to nie jest. Bo na upartego, co najmniej jedną trzecią medali i punktów zdobyli zawodnicy dwóch klubów, które w praktyce organizacyjnej nie liczą się wśród potentatów województwa. Nie mają żadnych opiekunów; tysiacy „statutowych członków”, to jest pracowników wielkich fabryk, którzy płacą miesięcznie składki wzbogacające setkami tysięcy złotych klubowe budżety, nie mają renomowanych trenerów, ba! mają tysięczne kłopoty nie tylko ze sprzętem, ale nawet z miejscem do trenowania. Mam na myśli łuczników słowikowskiej Stelli i judoków kieleckiej Lechii. A gdzie szkoły? Trzeba tłumaczyć naszych studentów, są na dorobku. I oni, i uczelnie. Tu trzeba cierpliwie poczekać, wierzyć, że środowisko to i w sporcie zacznie dochodzić do najlepszych. Natomiast śmiem twierdzić, iż w sporcie szkolnym notujemy systematyczny regres. Trzeba znaleźć tego powody, trzeba zacząć natychmiast usuwać zaniedbania. Bez tego, bowiem, najlepsze nawet plany odbudowy kieleckiego sportu, wprowadzanie go do przy najmniej średniej krajowej, pozostaną na papierze.

sport i okolice

Konkrety

W. J. Akbarg

Zostawmy jednak utyskiwania, nie z nich buduje się podstawy. Wróćmy do kwestii bardziej optymistycznych. Gdy słowa te ukażą się w druku, nasze dwa drugoligowe zespoły piłkarskie wejdą w nowy sezon. Jest to sytuacja, jakiej w tej najpopularniejszej dziedzinie sportu, bardzo dawno nie mieliśmy. Trudno w tej chwili przewidywać, stawiać horyzonty, obliczać szanse. Bądźmy jednak optymistami, wiermy, iż tak Star jak i Radomiak nie będą mieć kłopotów z utrzymaniem swej ligowej egzystencji. Prezes kieleckich piłkarzy, Ryszard Lipko twierdzi nawet, że w najbliższym czasie stan posiadania w tej materii powinien się wzbogacić. Ma rację. Moim zdaniem co najmniej dwa jeszcze ośrodki dysponują wszelkimi danymi, by wpisać się na stałe

w piłkarską geografie Polski. Kielce i Ostrowiec. Rzecz w tym, że o ile w tym drugim mieście robi się dobry sport, działa się spokojnie i systematycznie, rozsądnie, przymierzając zamiary do możliwości, to w Kielcach, niestety, dzieje się różnie. Kłopoty bokserów Błękitnych, koszykarzy Tęczy, lekkoatletów Budowlanych, całkowita degrengolada gimnastyki akrobatycznej, leżące na dnie basenów kieleckie pływanie — oto przykłady.

Nie lepiej z piłką nożną. Miałem okazję rozmawiać niedawno z jednym z działaczy Korony. Oddany klubowi duszą i ciałem, pełen zapału i inwencji, dobrych pomysłów, którymi chętnie dzieli się z każdym rozmówcą. Powiedział uczciwie, że niestety, ale jego koncepcje natrafiają na mur obojętności nawet wśród ścisłego kierownictwa klubu. Więcej w poczynaniach gremium osobistych ambicji, partykularyzmu zakładów, które podjęły się statutowego patronatu nad klubem, przetargów o „ważność” sekcji, aniżeli planowego długoterminowego działania. Nie wiem, jak sprawa wygląda w praktyce. W każdym razie, wyniki klubu, na który tak bardzo liczono w wojewódzkiej metropolii zdają się potwierdzać spostrzeżenia działacza. Czyżby kolejny sygnał? Czyżby tu należało szukać przyczyn zawodu, jaki sprawia sympatykom klubu wiele jego sekcji?

Mimo wszystko zakończę te swoje powakacyjne rozważania optymistycznie. Nie przeceniam wprowadzanie oficjalnych uchwał, zaleceń czy sugestii. Jestem jednak przekonany, że wnioski podjęte przez egzekutywę KW w sprawie rozwoju sportu w Kielecczyźnie, będą konsekwentnie realizowane, dla dobra sportu, dla dobra całego regionu. Bo to są konkrety, które muszą stać się ciałem



tot. CAF

noty, fakty ciekawostki rozrywka

NA OKŁADCE:

Kolorowe zdjęcie na str. 1 — A. Pęczalski, grafika na str. 32 — H. Papierniak, zdjęcia na str. 16-17 — Z. Jonko i archiwum, obok tytułów w numerze — kwiatowe motywy zdobnicze.

W jednym zdaniu

● Plenum KW PZPR z udziałem sekretarza KC, tow. Wincentego Kraski, oeniło w dniu 26 lipca wyniki społeczno-gospodarczego rozwoju województwa w pierwszym półroczu, nakreślając program działania do końca roku.

● Ostatnie tygodnie upłynęły pod znakiem ofiarnej pracy rolników przy trudnych żniwach, których przebieg w naszym województwie kontrolował m.in. sekretarz KC PZPR, tow. Józef Pińkowski.

● Z okazji XXX-lecia PRL wielu kieleckich dziennikarzy otrzymało odznaczenia państwowe, a wśród nich redaktor naczelny „Przemian”, T. Szwej (Złoty Krzyż Zasługi) i red. I. Jarosz (Medal XXX-lecia PRL).

● Na 15 miesięcy przed terminem oddano w Kielcach do użytku oddział zakazny szpitala dziecięcego, w którym leczyc się będzie jednorazowo 110 maluchów.

● W powiecie sandomierskim warszawscy archeolodzy odkryli trzy niezwykle ciekawe znaleziska — cmentarzyska z okresu kultury pucharów lejkowych, co wnosí nowe elementy do badań nad prehistorią regionu.

● Zapadła ostateczna decyzja o rozpoczęciu w roku przyszłym budowy nowego hotelu w Kielcach, który na ośmiu kondygnacjach pomieści 400 łózek, biura i zaplecze dla gospodarza obiektu, „Orbisu”.

● Z okazji trwającego w dniach od 10 do 18 sierpnia wielkiego Festiwalu Kulturalnego Młodzieży uczestniczących w nim harcerzy odwiedzili m.in. wicepremier — Józef Tejchma oraz konsul generalny ZSRR w Krakowie — Lew Wachraniew.

● W Fabryce Nadwozi Samochodowych „SHL” w Kielcach zbudowano prototyp nowej wywrotki o ładowności 18 ton, z silnikiem o mocy 240 KM.

● W 30 rocznicę wielkiej bitwy pancernej pod Studziankami odbyły się tu uroczystości jubileuszowe z udziałem weteranów bitwy, przedstawicieli władz centralnych i wojewódzkich, którzy obejrzel także wielką paradę wojskową zorganizowaną z okazji rocznicy.

● 50 hektarów powierzchni liczyć będzie wojewódzki park etnograficzny, który w najbliższych latach powstanie w okolicy Tokarni, gdzie już przygotowuje się do zagospodarowania połowę całego terenu, gromadząc równocześnie dane o zabytkach kultury ludowej, jakie znajdują się w skansenie.

● Kolejny sukces zanotowali alpinści Kieleckiego Klubu Wysokogórskiego PTTK, którzy zdobyli kilka trudnych szczytów w Alpach austriackich i szwajcarskich.

Jan Gauze w „klubie sześciu kontynentów”

Telewizyjny Klub Sześciu Kontynentów zaprosił na spotkanie i wspomnienia o pobycie nad Amazonką radomianina Jana Gauzego (laureata nagrody „Przemian”). Autor „Na przełaj przez dżunglę” i „Brazylii krokami mie-rzonej” jest świetnym gawędziarzem i potrafi niezwykle barwnie opowiadać o tamtej egzotycznej przygodzie swych lat młodości, o awanturniczej żyłce, która skłoniła 15-letniego chłopca do ucieczki z rodzinnego

domu w datek! świat. Jan Gauze — długoletni prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Radomiu, który zainteresowania plastyką ogranicza nie tylko do uczucia „sympatii” dla sztuk, zaprezentował również w Klubie Sześciu Kontynentów swoje prace malarskie tematycznie związane z Brazylią.

Szykujmy się na Rumcajsa

Zespół teatru im. Stefana Żeromskiego przebywa na zasłużonym odpoczynku. Trwają jednak już przygotowania do nowego sezonu teatralnego, który według założeń repertuarowych zapowiada się dość ciekawie.

Najważniejszą chyba pozycją repertuarową będzie przygotowywany na 110 rocznicę urodzin patrona Teatru „Sulkowski”. W ten sposób uczci się tę rocznicę, chociaż nie będzie to jedyna forma hołdu. W planach teatru, jak informuje dyr. Zdzisław Grywałd — są także występy innych zespołów ze sztukami wielkiego pisarza.

Ponadto z pozycji wielkiego repertuaru przygotowanego na sezon 1974-75 warto wymienić „Zemstę” Fredry, „Dom Bernardy Alba” Garcii Lorki, „Kłatwę” Wyspiańskiego, „Dom otwarty” Bałuckiego, jedną ze sztuk Szaniawskiego, którego dzieła stała pozycją kieleckiej sceny. Program ten uzupełniają sztuki polskich pisarzy współczesnych a wśród nich: „Z tamtej strony świecy” Grochowiaka, „Awans” Redlińskiego, „Indyk” Mrożka.

Godnym podkreślenia jest fakt stałej reaktywizacji małej sceny, dla której przygotowuje się m.in. „Pannę Julię” Strindberga, „Dwoje na huśtawce” Gibsona. No i wreszcie ciekawostka dla najmłodszych — (od lat 5 do 70) — teatr myśli o przygotowaniu ciekawej się dużym powodzeniem w Warszawie sztuki Wacława Czerwaka „Przygody rozbójnika Rumcajsa”.

Świętokrzyskie Dni Kultury

Tegoroczne XI Świętokrzyskie Dni Kultury zbiegają się z ważnymi uroczystościami: XXX-leciem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, 110 rocznicą urodzin pisarza tej ziemi, Stefana Żeromskiego, XXV-leciem „Słowa Ludu” i XX-leciem „Chemaru”. Program obchodów szczególnie bogaty i urozmaicony.

12 września początek. Przez dziesięć dni będzie można uczestniczyć w wystawach obrazujących dorobek Kielc i Kielecczyny, w wystawach malarstwa i fotografii, w odsłonięciu tablicy pamiątkowej poświęconej Stefanowi Żeromskiemu, w Ogólnopolskim Zjeździe Pisarzy Medyków, który w bieżącym roku został zaplanowany na Kielecczynie, w kiermaszach książek, koncertach muzyki symfonicznej i ludowej, w koncertach zespołów pieśni i tańca, w spektaklach teatralnych (m.in. na małej scenie poezja kieleckich pisarzy) oraz licznych imprezach środowiskowych.

Biblioteka Literacka „Przemian” przygotowała na wrzesień trzeci już tom poetycki, tym razem Józefa Grochowiny, młodego poety, członka Kieleckiego Klubu Literackiego. Przewidziano też zebranie klubu i biesiadę literacką. Stało się tradycją, że nad każdą nową pozycją literacką prowadzona jest dyskusja otwarta w Klubie Związków Twórczych.

Na wrzesień zaplanowano również drugi rajd artystyczny po ośrodkach przemysłowych Kielecczyny. W rajdzie wezmą udział członkowie wszystkich środowisk artystycznych: pisarze, plastycy, kompozytorzy i muzycy, artyści teatralni, dziennikarze i fotograficy. Organizatorem rajdu jest Wojewódzka Rada Związków Zawodowych oraz stowarzyszenia i związki twórcze. (pos)

„Kielce-74”

Przez kilkadziesiąt dni Kielce i województwo gościły ponad 2,5 tysiąca rozśpiewanych harcerzy w ramach ogólnopolskiego Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej. W dziesiątkach imprez w metropolii województwa, w amfiteatrach, na placach i ulicach, we wszystkich niemal miastach powiatowych artyści amatorzy w harcerskich mundurkach zaprezentowali swój dorobek artystyczny.

Główne imprezy w ramach festiwalu odbywały się w dniach od 10 do 18 sierpnia. Ale dwa tygodnie wcześniej uczestnicy tej naprawdę gigantycznej imprezy przygotowywali swe występy w ramach tzw. warsztatów artystycznych, które poświęcono pracom metodyczno-instruktażowym połączonym z wypoczynkiem.

Trudno podawać szczegółowy rejestr wszystkich naprawdę dobrych, pełnych humoru, zabaw i pomysłowości imprez. Do najważniejszych należały: koncerty w kieleckim amfiteatrach, kiermasz kulturalny z udziałem reprezentantów wszystkich chorągwi ZHP, które prezentowały swój dorobek artystyczny i kulturalny, wielkie koncerty galowe, krąg ogniskowy, wystawę malarstwa dzieci, wystawę fotograficzną itp. W ramach festiwalu prezentowały się publiczności Kielc i niektórych

nich miast także reprezentacyjne zespoły ZHP ze słynną „Gawędą” na czele.

Naturalnie w czasie festiwalu zorganizowano współzawodnictwo między zespołami i chorągwami. Były cenne nagrody, dyplomy i upominki. Ale nie to jest w sumie najważniejsze. Młodzież harcerska pokazała naprawdę dobrą zabawę, zdyscyplinowanie, potwierdziła swe umiejętności organizacyjne, twórczą inwencję i zapał. Bo nie tylko pod znakiem zabawy upływał festiwal. Młodzie przetracowali w tym okresie wiele godzin w czynie społecznym, m.in. pomagali przy żniwach mieszkaniom okolicznych wsi.

W sumie jedna z najbardziej uroczystych imprez, jakie oglądały Kielce w ostatnich latach. Warto się pokusić o zatrzymanie harcerskiego festiwalu na stałe, właśnie w Kielecczynie. Tegoroczne, pionierskie przecież doświadczenia wykazały, iż stać nas na dobrą organizację, tak jak harcerze udowodnili raz jeszcze, że potrafią się bawić. Siebie i nas wszystkich. Dziękujemy.

Teatr staje się ciałem

W początkach sierpnia rozpoczęło oficjalnie prace przygotowawcze do budowy gmachu nowego teatru w Kielcach. Wprawdzie teren w rejonie placu Mońiuszki i ul. Krynicznej przygotowywany był od dawna, trwały wyburzenia starych kamienic i prace te potrwały jeszcze pewien czas, niemniej ekipy Kombinat Budownictwa Miejskiego w Kielcach — generalnego wykonawcy inwestycji, weszły na plac budowy z robotami uzbrojeniowymi, przygotowuje się zaplecze. Wszystko to potrwa około pół roku i jest nadzieja, że w 30 rocznicę wyzwolenia Kielce, czyli w styczniu roku przyszłego będzie można wmurować symboliczny „kamień węgielny”.

Przypominamy, iż projekt nowego gmachu teatru przygotowali specjaliści z Gdyni, ogólny koszt wyniesie około 140 mln złotych, zaś cały zakres prac przewidziano na ponad trzy lata. Według założeń, gmach kieleckiego teatru należał będzie do najnowocześniejszych w kraju, zaś jego sylwetka architektoniczna i rozwiązania urbanistyczne stworzą z tej części Kielce naprawdę imponujący fragment nowoczesnego miasta. Oby tylko budowlani dopisali. A może uda się skrócić terminy budowy, co jest w tej chwili prawem niemal obowiązującym na wszystkich budowach.

Proponujemy jubileusz

Mija akurat pięć lat od podjęcia decyzji o generalnym remoncie tzw. pałacyku Zielńskich w kieleckim parku. Zakres prac renowacyjnych niemały, tym bardziej, że zespół został uznany za zabytek, a więc gros robót muszą

wykonać specjaliści od konserwacji obiektów chronionych.

Pięć lat, jak się okazuje w kieleckiej praktyce, to okres zbyt mały, aby przygotować prace remontowe, nie mówiąc już o ich wykonaniu. Do tej pory nie



wykwaterowano nawet wszystkich, zamieszkujących zespół pałacyku lokatorów, nie ma wykonawcy, są nadal kłopoty z projektem, a nawet do dziś trwają spory co do przyszłego użytkownika. Można tu rzecz jasna, powoływać się na rekordy naszego budownictwa przemysłowego, na fakt, iż w minionych 5 latach wybudowano w samych Kielcach co najmniej średnie powiatowe miasto, że są kwestie ważniejsze, że teatr itp. Nic jednak nie usprawiedliwi bałaganiarstwa i niekonsekwencji. Proponujemy, aby w czasie tegorocznych Świętokrzyskich Dni Kultury poświęcić jeden dzień na uroczyste podobnych jubileuszów. Pałacyk Zielńskich może być tylko skromnym przyczynkiem do dużego rejestru spraw podobnych. (w)

Jak na Węgrzech

Jesteśmy pełni uznania dla personelu kawiarni „Biruta” w Kielcach, gdzie po raz pierwszy w naszym mieście wyniesiono stoliki i foteliki na chodnik, tworząc w ten sposób sympatyczny, pozbawiony czadu z papierosów, za to pełen słońca i powietrza lokalik.

Kielczanie, podchodzący do tej innowacji gastronomicznej początkowo z dużą nieufnością, przyzwyczaili się do wypatanych z wikliny mebelków oraz do całego przedsięwzięcia. Późnym popołudniem trudno tu o wolne miejsce, nie dziwne — jedna „Biruta” wiosny nie czyni... j.

Jest sklep „fiata”

Z prawie rocznym opóźnieniem — już nie „Motozbyt” lecz „Polmozbyt” (zamienił stryjek?) przekazał licznej rodzinie „fiatowców” sklep z częściami zamiennymi i akcesoriami (Kielce, ul. Rewolucji Październikowej 6).



Sklepem kieruje najlepszy specjalista, jakiego w tej branży zna historia motoryzacji w Kielcach. Okazuje się jednak, że stare porzekadło o Salomonie, który też z próżnego nie należy, ma swe bar-dziej współczesne odpowiedniki. Sklep jest zaopatrywany przez hurtownię w Katowicach, a tam też koszuła bliższa ciału. Chwilowo więc można liczyć na pewną ilość części zamiennych do „dużego” „fiata” i rumuńskiej „dacji”. Maluch, niestety, musi się obywać bez pieluszek. Nie będziemy go rozpieszczali. wb.

Na razie dobre chęci

W Radomiu coraz więcej mówi się o zorganizowaniu ogólnomiejskiego, Międzyzakładowego Zespołu Muzyki, Pieśni i Tańca, który składałby się z orkiestry, chóru mieszanego i baletu, a liczyłby łącznie ponad 160 osób. Ustalono już nawet repertuar — nowoczesny z elementami stylizowanego folkloru. Wyceniono również, ile kosztować będzie jednorazowe wyposażenie zespołu m.in. w kostiumy, instrumenty muzyczne a także jego utrzymanie w ciągu roku. Są to dość pokaźne sumy, dlatego nie można liczyć tylko na dotację WRZZ w Kielcach i Urzędu Miejskiego w Radomiu. Do 41 miejscowych zakładów pracy i instytucji wysłane zostały pisma zawierające finansową propozycję współudziału w zorganizowaniu i utrzymaniu reprezentacyjnego zespołu miasta. Niestety, szybciej można zaproponować, a nie tak łatwo otrzymać odpowiedź... (ward)

Radomskie albumy

„Radomskie albumy” to cykl spotkań z wybitnymi ludźmi związanymi z Radomiem, przedstawicielami świata nauki, polityki, techniki, kultury... Głównym organizatorem tej ciekawej, już w założeniu, imprezy jest Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury, z którym współdziałają: Miejska Poradnia Pracy Kulturalno-Oświatowej, MRZZ oraz Zakładowy Dom Kultury „Waltera”.

Inauguracyjny, uroczysty wieczór w ubiegłym miesiącu poświęcono wspomnieniom o okresie XXX-lecia. Wśród honorowych gości znaleźli się: doc. inż. Bogusław Białczak — główny konstruktor Zakładów Metalowych im. Gen. „Waltera”, wykładowca Kielecko-Radomskiej WSI, inż. Zdzisław Klepaczewski — dyrektor Zaocznego Technikum Przemysłu Skórzanego, Marian Czajkowski — jeden z pierwszych budowniczych powojennego Radomia, Jan Langer — kompozytor, aranżer. Następny „Radomski album” otworzy swoje karty jesienią. (ward)

Łożyska i fontanna

Ulica Mielczarskiego nie jest na razie zbyt często wykorzystywana jako ciąg spacerowy i nie w tym dziwnego. Sąsiedztwo torów kolejowych, a zwłaszcza budowa wiaduktu i jego odnóg na ul. Krakowskiej spowodowały rozkopanie tej skądinąd ładnej ulicy. Wiadomo, że na ul. Mielczarskiego mamy dwa zakłady produkcyjne: Kielce: „Społem” i Fabrykę Łożysk Tocznych „Iskra”.

Rośnie i pięknieje nam właśnie ta mała, zaraz po wojnie produkująca pogrzebaczę i inne tego rodzaju rzeczy — fabryczka. Dziś to potężny kombinat zarządzający 4 dużymi fabrykami łożysk i świec zapłonowych (główny asortyment). Cieszy i daje dobre świadectwo o ludziach tu pracujących, porządek wokół hal produkcyjnych i przed głównym wejściem oraz chęć oryginalności.

Właśnie o tej oryginalności, chciałem słów kilka napisać. Zachwyliła mnie piękna fontanna zrobiona z 3 modeli świec zapłonowych i kilku wielkości łożysk kulkowych połączonych ze sobą i opartych na wspólnej podstawie. Zachwyliło ciekawe rozwiązanie konstrukcyjne, ba sama technika tej małej, a pięknej wizerunkowo zakładu, a jednocześnie i miast.

Gdyby tak więcej takich małych wspaniałości, Kielce byłyby coraz piękniejsze. Jest to także dobra reklama zakładów. Gratulujemy i życzymy dalszych pomysłów.

Zławałoby się drobiazgi — opakowania

Coraz częściej opakowania znajdujących się w sprzedaży towarów wywołują szczerą radość. Są estetyczne, kolorowe i funkcjonalne, czyli po prostu ładne i nowoczesne. Poszukiwana ciągle jeszcze kawa zbożowa „inka” (a więc nie jakiś bubel wymagający gwałtownie zmiany opakowania) pakowana jest w plastikowe słodczki z kolorowymi zakrętkami, lody o potrośnym smaku przypominającym cassaty mają barwne (tekturka jest parafinowana) opakowanie, podobnie pakowane są kosmetyki i artykuły chemiczne i gospodarstwa domowego. Nie sposób w paru wierszach wymienić wszystkich producentów, którzy zerwali z hasłem „dobry towar sam się sprzedaje” na rzecz bardziej pojemnego postulatu „dobrze i ładnie zapakowany towar łatwiej trafia do klienta”.

Niedługo będziemy mogli poznać zalety (i wady) specjalistów z Fabryki Opakowań w Niewachlowie. Miejmy nadzieję, że nie będziemy się musieli wstydić. **Je.**

„Prometeusz” w RSM

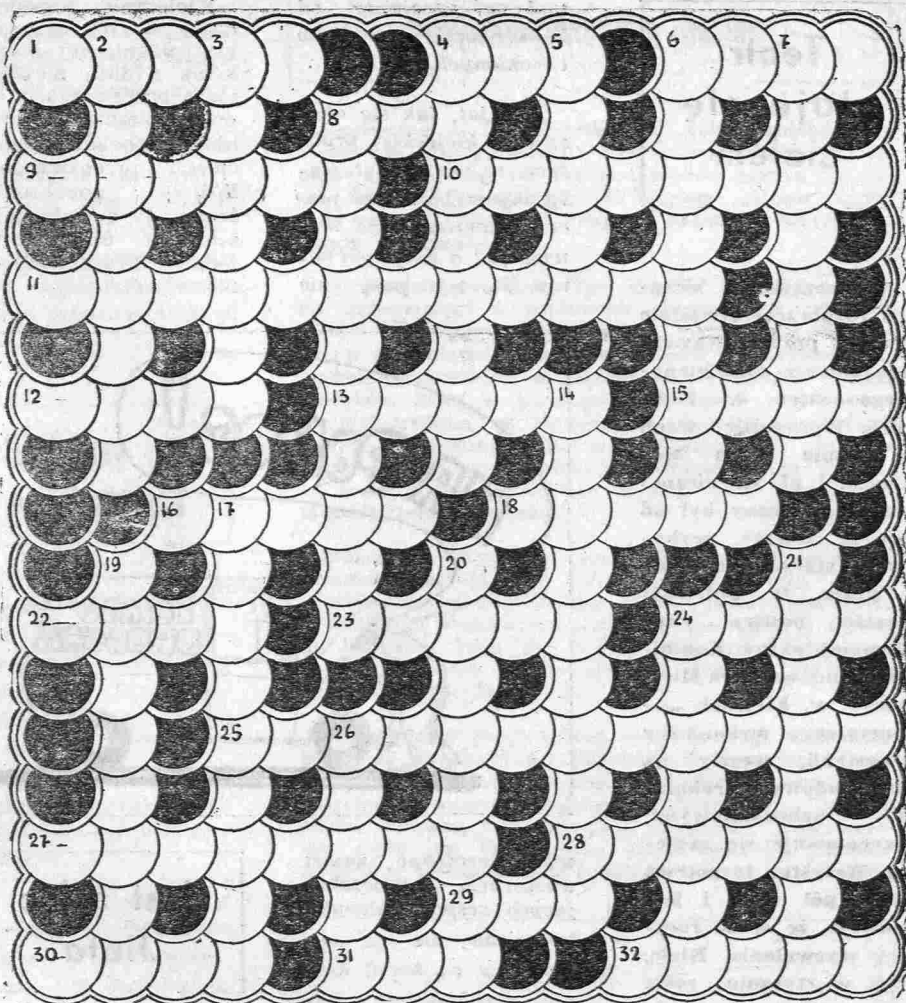
Była to chyba najcenniejsza społecznie akcja problemowa Towarzystwa Przyjaciół Rzeźby w Oronsku. Zaangażowały ją w 1970 roku spotkania z przewodniczącymi miejskich rad narodowych, prezesami spółdzielni mieszkaniowych, architektami miast wydzielonych. Już w 1971 roku, za pośrednictwem towarzystwa, trafiły do miast Kielecczyny dwie rzeźby, w roku następnym — pięć, a w u-

biegłym trzydzieści jeden. Żywy oddźwięk znalazła akcja w Kielcach, Starachowicach, Ostrowcu... Niedługo i Radom, a konkretnie — jedno z osiedli RSM, wzbogaci się o piękną rzeźbę wykonaną w Oronsku przez radomskiego artystę plastyka, Stanisława Romańczuka. Nazwana ona została „Prometeuszem”, a jest to dwumetrowej wysokości postać wykuta w szarzielonym marmurze. **(ward)**

Szczęściarze z PR

Koledzy z kieleckiej rozgłośni Polskiego Radia mogą mówić o dużym szczęściu: nie tylko otrzymali nową rozgłośnię, lecz jeszcze na dodatek o prawie rok przed terminem. Nowy budynek z zewnątrz nie przedstawia się zbyt okazale, przypomina odwróconą do góry dnem skrzynię, ale wewnątrz spełnia wszelkie wymagania nowoczesnej radiofonii (mogą tu być nagrywane programy stereofoniczne). Duże studia radiowe — jedno z nich ciągnie się w górę przez wszystkie trzy kondygnacje, nowoczesne urządzenia nagrywające, funkcjonalne pokoje dla dziennikarzy.

Generalnym wykonawcą nowej rozgłośni był Kombinat Budownictwa Miejskiego w Kielcach, specjalistycznych podwykonawców czke mrowie. W sierpniu i wrześniu trwać będą prace instalacyjne nowej amplifikatorni (kilometry kabli i kabelków, skomplikowany montaż pulpitów sterowniczych itp.). Pierwszy program z nowej rozgłośni zostanie nadany w dniu 2 października, w rocznicę powstania radia w Kielcach. Należy sądzić, że szczęściarze z radia, pracując w doskonałych warunkach, będą dawać na antenę jeszcze lepsze niż dotychczas programy. **J.C.**



KRZYŻÓWKA 48

POZIOMO: 1) kajda-ny, 4) ojciec chrzestny, 6) krążeł do rzucania, 8) głębia obrazu, 9) człowiek łatwo dający się wywieść w pole, 10) raport, 11) rozpamiętywanie, 12) mechanizm zegarka, 13) mitologiczny przedświadek piekieł, 15) bogini zwycięstwa, 16) zawsze po imieniu św. Tomasza, 18) drzewa część z korzeniami, 22) umarł, niech żyje, 23) francuski astronom, który brał udział w pomiarach ziemskiego południka, 24) więzienna izba, 25) umocnienie obronne, 27) rzadki w Polsce krzew o dużych i pięknych kwiatach, 28) opuszczana zasłona okienna, 29) as, 30) dy-mi i grzmi niekiedy Sy-cylińczykom, 31) słowiańska patronka miłości, 32) usiane wyspami jezioro w północnej Finlandii.

PIONOWO: 2) ziemniak, 3) potwierdza regulę, 4) zespół uzupełniających się, tworzących całość przedmiotów, 5) chłopczyk, 6) zakład produkujący druki, 7) idylla, 8) odskocznia, 14) miasto nad Wisłą, 17) żywica drzew iglastych, 19) żywność, 20) potrawa konserwowana w occie, 21) krochmalowy klej, 24) Charles Spencer — aktor-ska znakomitość, 26) zwój papieru.

Miedzy czytelników, którzy do 14 września br. nadesłały rozwiązanie, rozlosujemy 500-złotowy bon towarowy. Pod adresem redakcji („Przemiany”, pl. Obrońców Stalingradu 2, 25-367 Kielce) prosimy dopisać: Krzyżówka 48.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 47

POZIOMO: sztaba, Skawina, okowita, okaryna, kontakt, il, Rosjanin, lorneta, filar, skład, usterka, poszycie, oś, ry-gacz, maniera, żelazko, megafon, statyka.

PIONOWO: sto, ad-went, Putrament, koklusz, warszawiak, Aza, kukla, nawijak, stratosfera, o-parzelina, skrobina, senty-ment, ścierwo, kozak, ba-żant, mim, oda.

NAGRODĘ (500-złoto- wy bon towarowy) wysła-amy Lechowi Półtorako-wi ze Skarżyska, ul. Źród-łana, bl. 6 m. 8.

Czwórka kielecko-radomska

Na Ogólnopolski Fe- stiwal Malarstwa Współ- czesnego w Szczecinie artyści plastycy z ca- łego kraju nadesłali w sumie około 1000 prac, z których festiwalowa komisja artystyczna przyjęła 300. Zaakcep- towane zostały obrazy, czterech plastyków re- prezentujących Kielec- czynę: Leszka Woźnic- kiego i Zbigniewa Kur- kowskiego z Kielc oraz Władysława Paciaka i Longina Pinkowskiego z Radomia. **(ward)**

przemiany

Adres redakcji: Plac Obrońców Stalingradu 2, 25-367 Kielce, tel. 503-72, 501-58.
Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch” Kielce, pl. Obr. Stalingradu 2.
Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres zgłoszonej prenumeraty przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu” w całym kraju (Instytucje państwowe i społecz- ne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa—Książka—Ruch” Urzędy pocztowe przyjmują prenumeratę w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów i de- legatur RSW). Cena prenumeraty: kwartalna — zł 21, półroczna — zł 42, roczna — zł 84. Prenumeratę z wy- słąką za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przysyła Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”. Warszawa, ul. Wronia 23 konto PKO nr 1-6-100.024, telefon 20-46-88 Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch”. Kielce, ul. M. Buczka 11, tel. 430-64.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch” w Kielcach. Nakład 18.230 Nr ind. 37.240 M-3

Kto chce,
niech dzwoni

Centralny Ośrodek Informacji i Reklamy Turystycznej zaprosił mieszkańców zatłoczonych i hałaśliwych miast na wakacje do 190 wsi polskich, nie bardziej od pozostałych gościnnych, lecz spełniających warunki wsi letniskowej. Szkoda, że po lekturze 100 stron potrzebnego wydawnictwa nikt z zaproszonych nie powie: tylko Kielecczyzna! Nie dlatego, że wsi letniskowych mamy wg kryteriów CKKFiT (a i wskutek naszej starośności) w omawianym spisie tylko sześć. Po prostu, poza nazwą, nic o nich nie wiadomo. Czy ryby, czy grzyby, nizinie czy góry, z pocztą i apteką, ile metrów po gazecie, ile



Technikum Hodowlanym w Chrobrzu w pow. pińczowskim rozpoczął się nowy rok szkolny. W 5-letnim Technikum, Zasadniczej Szkole Rolniczej i 3-letnim Technikum na jej podbudowie, naukę podejmuje blisko 400 dziewcząt i chłopców. Placówka obchodzi aktualnie ćwierćwiecze istnienia i działalności

zamyśla się o budowie nowego gmachu szkolnego i internatu na 200 miejsc.

W Technikum od lat działa jedno z największych w regionie i najaktywniejszych kół ZSMW. Młodzież w ubiegłym roku szkolnym pracowała społecznie przy budowie ośrodka zdrowia, szkoły podstawowej i sadzeniu lasu, własnymi siłami buduje także siłownię sportową. Wartość tych czynów wyniosła łącznie 316 tys. zł. W szkole rozwija się sport, a sekcje ciężarowa, lekkoatletyki i piłki ręcznej zaliczają się do najlepszych w województwie za Kielcami i Radomiem. Spółdzielnia uczniowska trzeci raz z rzędu zajęła I miejsce w konkursie, do którego przystąpiły wszystkie szkoły średnie, zespół muzyczno-taneczny drugi raz I miejsce wśród szkół rolniczych.

Młodzież w ramach zajęć praktycznych uczestniczy w pracach w gospodarstwie, obejmującym obszar 95 ha gruntów ornych i łąk i stanowiącym doskonałą bazę szkoleniową. W ostatnich dwóch latach osiągnęło ono zysk w wysokości 1 mln zł. Przeciętnie od krowy uzyskuje się 4195 l. mleka rocznie, ponad 40 q czterech podstawowych zbóż z hektara, w tym 51,5 q pszenicy odmiany „grana”. Placówka chłopska kształci swoich wychowanków wszechstronnie, nic zatem dziwnego, że co czwarty absolwent obiera studia, wielu pełni odpowiedzialne funkcje w państwowych gospodarstwach rolnych, w administracji i organizacjach społecznych, w instytucjach pracujących na rzecz rolnictwa. (hk)

zycie dosłużył się jednego kółka sprawności na rękawie, tkwią pokłady sentymentu dla harcerskiej piosenki. Może to las, ognisko, apel, wciąganie flagi na maszt i takie inne okoliczności towarzyszące przywilejom i organizacji wywołują pogłos ładnej, wesołej, czystej melodii i słów, którym się ani tamtego patosu, ani treści niektórych zwrotek nie pamięta. Dziś inny ceremonial, inne instrumenty, fryzury, zawołania — ale to przecież zawsze ta sama organizacja, która pierwsza po rodzicach i szkole, z nimi wychowuje najmłodszych.

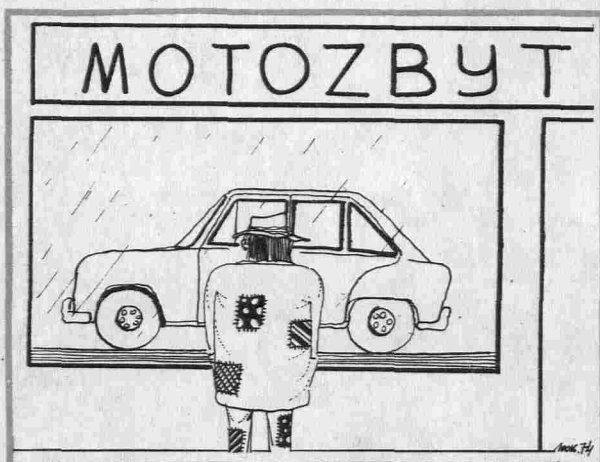
Zdumieniem dla uszu do wszelkich dziś tekstów przywykłych była jednak pożegnalna pieśń zasłyszana w jednym poobozowym autokarze starszo — ale i młodszoharcerskim. Ta o Walerci. W rytmie wesołym, marszowym opiewały dzieci zrobić pannie Walerci różne rzeczy, np. wsadzić piórko do kapelusza, śpiewali co ma czarne, co ładne. Słowa były cenzuralne, niewinne, tylko w przerwach między członami zdania było dużo prostackiego, żeby nie powiedzieć inaczej, dowcipu.

Gdyby z repertuaru obozowego można usunąć tę Walercję. Ale to

podobno stara, wypróbowana piosenka, nikt się jej nigdy nie czeptał. No cóż, widać już nie te uszy...

Masz już
Deynę?

Jak ten „Ruch” to robi? Jeszcze musował szampan w powitalnych pucharach, a już poszło od ręki 200 tys. pocztówek FIFA 1974 z naszymi wspinałymi piłkarzami, dużych, kolorowych, z finezją wyrazu każdej twarzy, z autografami uwierzytelnionymi na odwrocie uporządkowaną informacją who is who. Klub kolekcjonera 135 — to pamiątka srebrnego medalu. 200 000 × 6 zł, a dobitki, a większy format, a plakat?.. Ciekawe, ile by się utłukło w klubie kolekcjonera z innych serii, np. czółówek polskiego aktorstwa, albo uczonych roku. Piosenka, wiemy, Pancerni, Bolek i Lolek, ale my jeszcze nie o tym. W kioskach zaznaczamy, nie w księgarniach KIMPiK, bo pod strzechę dotrzeć dziś z popularnością, to dotrzeć do kiosku „Ruchu”.



za łózko, co dokładnie policzono i opisano o Uhowie w Białostockiem, Becejlach, Tleniu, Okunince i o 180 innych. U nas tak: o Nagłowicach (dowiesz się, amatorze wczasów pod gruszą, w Jędrzejowie), o Nowej Słupi — w Kielcach, Czarnieckiej Górze — w Końskich, o Garbatce — w Radomiu, o Bliżynie — w Skarżysku i w Zwoleńiu o Czarnolesie.

Komuś się nie chciało poinformować Centralnego Ośrodka Informacji. Szkoda. O tych sześciu kieleckich wsiach w Polsce wiedzą ludzie prawie wszystko, i latami jeżdżą właśnie tam na letniska. Podać sześć powiatowych telefonów i nic więcej, to zgrzeszyć przeciw interesowi i obyczajom. To drugie, nonszalancko, chyba gorsze.

25 lat
technikum

W jednym w województwie, jednym z czternastu w kraju

na rzecz rozwoju i postępu kieleckiego i nie tylko kieleckiego rolnictwa. W br. zajęcia teoretyczne i praktyczne odbywać się będą w bardzo trudnych warunkach lokalowych, gdyż do kapitalnego remontu oddano zabytkowy pałac, gdzie zamierza się uzyskać 8 pracowni z zapleciami. Wymienia się podłogi, dach, instalację elektryczną, wodociągową i c.o., przebudowę niektóre pomieszczenia, konserwuje malowidła i rzeźby. Roboty inwestycyjne na tym się nie kończą. Dawną suszarnię chmielu adaptuje się na obiekt mieszkalny. W przyszłym roku odda się do użytku bazę kontumacyjną ze 150 stanowiskami dla buhajków eksportowych, które sprowadzać się będzie z całej Kielecczyzny, przystąpi się do budowy centralnej kotłowni oraz renowacji 12-hektarowego zabytkowego parku według ubiegłowiecznego planu Marconiego, nowych nasadzeń, remontów starych drzew, urządzania alei itd. W dalszej perspektywie

Panno
Walerciu...

W pamięci starych harcmistrzów, a choćby takiego szeregowego druha, co przez całe



Głazewski — Igła w stogu nauki
y od losu ♦ H. Kawiorski — Po-
ny Cyganie...

Literacka geografia Kielecczyny

Opoczno, m. powiatowe w woj. kieleckim nad rzeką Drzewiczką, w 1284 roku znane jako wieś Opocza. Prawo miejskie otrzymało od Kazimierza Wielkiego w r. 1365, zniszczone przez Szwedów. Kościół parafialny z XIV w., synagoga z XVIII w., zamek z XIV w. wielokrotnie niszczone i odbudowywany. Z Opoczyńskiego wywodził się ród A. F. Modrzewskiego. W O. urodził się

6 sierpnia 1877 r. Włodzimierz Perzyński. Miasto jest ośrodkiem folkloru i przemysłu ludowego (tkactwo, zdobnictwo, zespoły taneczne i muzyczne, kapela).

Orońsko, wieś w pow. szydlowieckim woj. kieleckim; w dworku J. Brandta ośrodek pracy rzeźbiarzy i doroczne plenery. W pomieszczeniach wystawa me-

dalierstwa, w obszernym parku krajo-
brazowym stała wystawa rzeźby.

Ossolin, wieś w pow. sandomierskim woj. kieleckim; osada założona przez Jaśka Owcę w r. 1350. W r. 1633 Jerzy Ossoliński kanclerz koronny zbudował zamek i wyposażył go w duży księgozbiór. Zamek zburzony przez właściciela — Antoniego Ledóchowskiego w roku 1816.

Paprocice, wieś w pow. kieleckim założona przez heralda B. Paprockiego jako Paprocka Wola. (zob. J. Gacki „Benedykt, klasztor św. Krzyża na Łysej Górze” 1873).

Ponidzie, popularna nazwa południowych rejonów woj. kieleckiego (dawniej: północnych ziem Małopolski), zamkniętych naturalnymi granicami górnej Nidy od półn. wschodu, rz. Czarnej od półn. wschodu i od wschodu, rz. Wisły od południowego wschodu i rz. Nidzicy od połudn. zachodu. Za panowania Mieszka I P. wraz z Małopolską weszło w skład wieloplemiennego państwa polskiego, wtedy też wybudowano tu warowne grody m.in. w Wiślicy, Stradowie, Szczaworyżu i Połańcu. W XVI w. była na P. gęsta sieć zborów, szkół i bibliotek arian i kalwińskich, działali tu reformatorzy: A. i K. Lubienieccy, H. Moskorzewski, S. Przypkowski, M. Ruar, J. Siemieński, J. Łaski (pochowany w Pińczowie), E. Socyn, P. Statorius, J. Stojęński (Stoiński), G. Orsatius. W XVII i XVIII w. ziemie P. zostały spustoszone, miasta i zabytki zrujnowane przez Szwedów oraz wojny domowe. Podczas powstania kościuszkowskiego słynne bitwy pod Połańcem, Racławicami i Szczekocinami, po upadku powstania tereny P. zostały włączone do zaboru austriackiego, od r. 1809 do Ks. Warszawskiego, a od r. 1815 do Królestwa Pol. (najpierw woj. krakowskie, od r. 1837 gub. sandomierska przemianowana w r. 1844 na radomską). W okresie powst. styczniowego działali tu dowódcy: Langiewicz, Jeziorański, Wali-górski, Czachowski, Bończa i Dunajewski; słynne bitwy pod Grochowiskami, Komorowem, Gacami, Stojnowem, Potokiem, Chrobrzem i Drożejowicami. Wiele cennych zabytków uległo zniszczeniu w czasie I i II wojny światowej. W czasie okupacji silny ośrodek partyzancki AK, BCh i AL z konspiracyjną prasą (m.in. czasopisma „Świt” i „Promień” redagowane przez J. Ozgę-Michalskiego, „Ojczyzna”, „Głos Demokratyczny”). Na przełomie lipca i sierpnia partyzanci zdobyli tereny od Racławic po Nowy Korczyn i utworzyli tzw. Republikę Pińczowską. Walki partyzanckie przedstawiono m.in. w: „Szlakiem Jędrusiów” E. Dąbrowskiego i „Chłopcy Barabasha” M. Sołtysiaka. Wątki krajo-
brazowe i obyczajowe z P. występują w twórczości A. Dygasińskiego (szczególnie w utworach: „Za krowę”, „Głód i miłość”, „Znad Nidy i spod Skalbierz”, „Szymek Ziarno”), W. Przyborowskiego („Pamiętnik powstańca z 1863 r.”, „Arianie”), J. Mortona (zob. Chroberz), J. M. Gisgesa („Pamięć serca”), M. Kubickiego (tomy poezji „Chleb”, „Na nowiu”, „Ludzka miłość”, „Smak jesieni”, „Cień czasu” oraz proza: „Tamte lata”, „Powszednie sprawy”, „O zmierzchu”, „Szklany byk”, W. Babinicza.



Była to chyba naj-
cenniejsza społecznie
akcja problemowa To-
warzystwa Przyjaciół
Rzeźby w Orońsku. Za-
inicjowały ją w 1970
roku spotkania z prze-
wodniczącymi miejskich
rad narodowych, pre-
zesami spółdzielni
mieszkaniowych, archi-
tektami miast wydzie-
lonych. Już w 1971 ro-
ku, za pośrednictwem
towarzystwa, trafiły do
miast Kielecczyny dwie
rzeźby, w roku następ-
nym — pięć, a w u-

był Kombinat Budow-
nictwa Miejskiego w
Kielcach, specjalistycz-
nych podwykonawców
część mrowie. W sierp-
niu i wrześniu trwać
będą prace instalacyjne
nowej amplifikatorni
(kilometry kabli i ka-
belków, skomplikowany
montaż pulpitów ster-
owniczych itp.). Pierw-
szy program z nowej
rozgłośni zostanie na-
dany w dniu 2 paź-
dziernika, w rocznicę
powstania radia w Kiel-
cach. Należy sądzić, że
szczęściarze z radia,
pracując w doskonałych
warunkach, będą dawać
na antenę jeszcze
lepsze niż dotychczas
programy. J.C.

przemiany

Miesięcznik
rański, Wła-
Irena Jarosz
dan Pastern
czelny — tel.

Adres redakcji: Plac Obrońców Stalingradu 2, 25-367
Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW
Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane
prenumeratę przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki
ne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za
Książka—Ruch” Urzędy pocztowe przyjmują prenumera-
legatur RSW). Cena prenumeraty: kwartalna — zł 21.
syłka za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przysyła
Warszawa, ul. Wronia 23 konto PKO nr 1-6-100.024
nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch”.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książ-

przemiany
30